Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

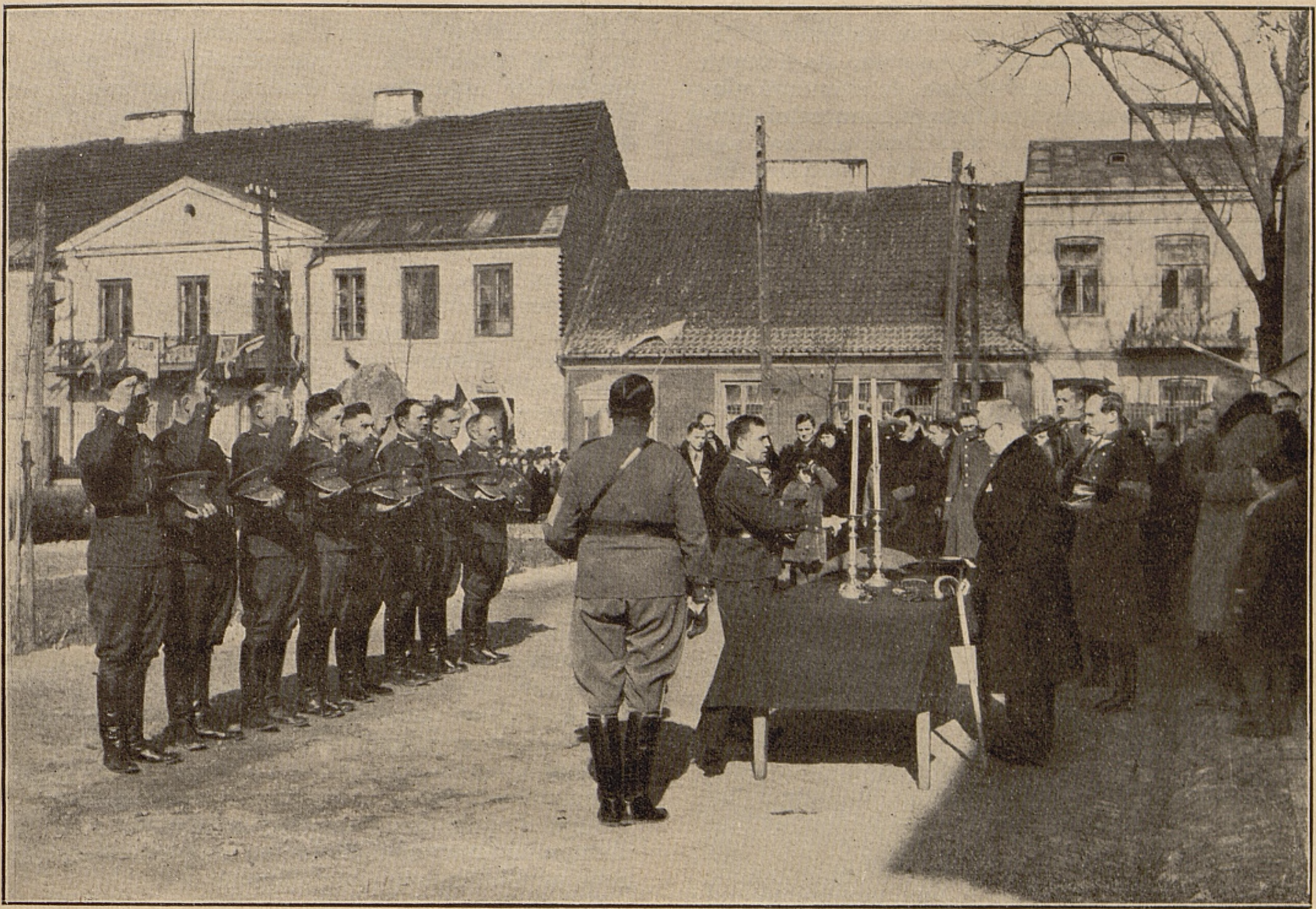
ŁOWIEC POLSKI



Z polowania Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego. Ryś!... Fot. J. Regulski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 6—7 (818/819) 10 MARCA 1936 R.



Z życia Straży Łowieckiej pow. płońskiego. Przysięga nowych strażników łowieckich.

KU OCHRONIE ZWIERZOSTANÓW.

„Chronione łowiska — bogate łowiska,
Bogactwo łowisk — bogactwem kraju!"

Zbędnem byłoby zbyt szerokie rozpisywanie się tutaj na temat konieczności ochrony zwierzostanów, bowiem, biorąc za nawias pseudo-myśliwych, myśliwym cel ten jest zrozumiały i nietylko myśliwym w pełnem tego słowa znaczeniu, lecz również szeregowi ludzi, biorących udział w akcji ochrony przyrody. Aczkolwiek nieco różnić się będą dążenia myśliwego-eksploatatora od dążeń przedstawiciela ochrony przyrody, to jednak wspólnota ich znajdzie swój wyraz w dążeniu do zachowania jak najdłużej i najliczniej atrakcyjnego piękna i bogactwa fauny, w postaci przeróżnych właściwych naszej ziemi gatunków.

Dążenia te, dla ludzi świadomych wyżej postawionych celów, ogarnęły już wiele krajów, bowiem wespół ze wzrostem kultury, zmieniającym częstokroć warunki rozwoju fauny, wzrasta również ilość legendarnych „braci marnotrawnych", a w tych warunkach idea zyskuje na aktualności. Aktualność poruszonych tematów powoduje powstawanie w całym szeregu krajów zwartych antywandalistycznych frontów w celu ochrony rodzimych zwierzostanów. Niezależnie od szeregu ustaw, mniej lub więcej wystarczających, w zależności od materjalnej zasobności poszczególnych państw — powstają specjalne kadry policji łowieckiej, której zadaniem, obok stania na straży prawa łowieckiego, jest ochrona przyrody wogóle.

Niezależnie od takiego oddziaływania zapobiegawczego przeciwko łupiestwu żywych skarbów naturalnych, stosowane jest w szeregu krajów powszechne ukulturalnianie szerokich mas społeczeństwa z punktu widzenia poruszonego tematu. Misję tę spełniają stowarzyszenia, będące dobrowolnym zespołem ludzi, dla których świadomość doniosłości celu, jakiemu służą, jest symbolem pracy.

Taka korelacja pracy państwowo-społecznej składa się na tworzenie mocnych frontów zwierzyno-ochronnych, dających gwarancję skuteczności i realności prowadzonej akcji.

Jak jest u nas?...

U nas istnieje Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, który jest pięknem zwierciadłem pracy łowieckiej, odbijającem wzniosłe idee sumień, serc i nieraz zaparcia się siebie garści tych ludzi, którzy, nie bacząc na codzienny trud pracy pozaorganizacyjnej, pracy w rządzeniu państwem w ścisłem tego słowa znaczeniu, lub w zdobywaniu własnego bytu, poświęcają się w policzonych bodaj wolnych chwilach z heroicznem oddaniem dobru sprawy — ochronie łowiectwa i ochronie przyrody. Ta silna organizacja, stworzona, utrzymywana i żyjąca w asocjacji zaparcia się siebie dla dobra sprawy, rokuje nadzieje mocnego i owocnego istnienia, jeżeli pozyska szerokie warstwy naszego społeczeństwa.

W tym kierunku P.Z.S.Ł. nie ustaje w pracy. Hasło ukulturalniania jednostek i popularyzacji wartości łowiectwa i bogactw przyrody jest stale naczelnem hasłem pionierów naszej organizacji. Praca ta jednak jest nazewnątrz, *ad oculos* przeciętnego śmiertelnika stosunkowo mało widoczna i to, zdaje mi się, proces ewolucyjny naszego społeczeństwa łowieckiego hamuje.

Niestety, w szerokich warstwach, a nawet w oświeconej części społeczeństwa, niezawsze zjawia się chęć wszechstronej znajomości prawa, organizującego naszą etyczną, socjalną i gospodarczą stronę życia spo-

łeczno - narodowego. W tych okolicznościach p e d a g o g i k a f i z y c z n o - o p t y c z n a, z jednoczesnem ukulturalnianiem, dać może jedynie powszechne poczucie prawa, gdyż zbyt wielką jest jeszcze ilość tych jednostek społeczeństwa, dla których etyka łowiecka jest tak niedostępna, że musi być ujęta przez prawo, a przekroczenia jego karalnemi. Musimy sobie zdać sprawę, że w smutnych, niestety, naszych warunkach u r z ę d o w o ś ć o p t y c z n a jest konieczną, bo budzi strach i respekt; że nie możemy obejść się bez psychologicznego oddziaływania na złośliwych wandali.

Wygłaszając ostatnio przytoczone zdanie, spotykałem się niejednokrotnie z zarzutem koncepcji terorystyczno dyktatorskiej, odpowiedzieć jednak na takie dictum postaram się dopiero wówczas, gdy czyniący mi zarzut wskażą taki ustrój państwowy na świecie, w którym hasło całkowicie liberalnej wolności obywatela nie będzie tylko papierowe. W mojem pojęciu pełny liberalizm w praktyce, z punktu widzenia polityki narodowej, jak i socjologicznego, nie znajduje wytłomaczenia w rządzeniu masami.



Ponowa. Fot. Wł. Puchalski.

Wyżej zamieszczone analizy, z punktu widzenia oddziaływania etykietalizmu na społeczeństwo, w naszych warunkach stały się przyczynkiem do powstania koncepcji realizowania pedagogiki fizyczno-optycznej.

Artykuł Władysława Zabiełły p. t. „Ku chwale łowiectwa", zamieszczony w Nr. 10 „Łowca Polskiego" z 1935 r., jest informatorem zapoczątkowania nowych metod w stosunku do zwierzostanów. Artykuł ten, aczkolwiek niepozbawiony jest dużej dozy sentymentu łowieckiego dla samej sprawy, a barwiony lekką łezką łaskawych uczuć i ciepłych słów, płynących z przeżywanych wrażeń w szerokiem sercu autora, w grubych tylko zarysach oddaje przesłanki, które stanowiły podstawę do organizacji nowej metody ochrony łowiectwa. Niemniej autor pochwala świadomie metodę pedagogiki optycznej. Bogata ilustracja, w połączeniu z jasną i zrozumiałą treścią, budzi zainteresowanie, na skutek czego szereg ludzi zwraca się pod adresem Płońska — Starostwa, czy też Kierownictwa organizacji — o ściślejsze informacje co do systemu, wyrażając gotowość pójścia za tym przykładem. W szeregu tym stają powiaty: białostocki, nieszawski, przasnyski, siedlecki, środzki i inne.

Wreszcie, czytając „Łowca Polskiego" Nr. 32 z 1935 r., a w nim wiele łaskawych słów z „Wolnej Trybuny" pióra inż. Władysława Burzyńskiego, znajdujemy między innemi zdanie: „Ziemia płońska błogosławiona jest w swem łowiectwie, bo się jej wszystkie miarodajne okoliczności złożyły"...

Będąc współprojektodawcą i współorganizatorem straży łowieckiej pow. płońskiego, czuję się w obowiązku wypowiedzieć parę słów na poruszony temat i stwierdzić, że, aczkolwiek na stworzenie czegoś wszystkie „miarodajne okoliczności" muszą się złożyć, to jednak wypadkowa tych okoliczności, stwarzana przez nas samych w pewien programowy sposób, daje właśnie to coś. Jeżeli więc użyte miano „błogosławionej w swem łowiectwie" nie jest zbyt łaskawe w odniesieniu do okoliczności, to zdobycie go nie będzie nigdy rzeczą trudną, jeżeli znajdzie się choć kilku ludzi, upartych w pracy i ubiegających się o to wyróżnienie, ale świadomych swej idei, którą przyjmą i potrafią wprowadzić w życie.

Z całą świadomością podkreślić tu muszę oświadczenie moje co do „kilku ludzi"; koncepcja nowej metody ochrony łowiectwa opiera się w samem założeniu na kilku ludziach, prowadzących bezpośrednią akcję, aczkolwiek powodzenie jej leży również znacznym ciężarem na pośredniem współdziałaniu społeczeństwa. Zdaniem mojem w ruchu asocjacyjnym społeczeństwa należy modyfikować jego dewizę: „równa współpraca i praca" — „wspólna tolerancja uzasadnionych poczynań jednostek ideowych".

Życie nie poskąpiło nam dotychczas przykładów, że stosowanie nawet w najpiękniejszych i najkonieczniejszych celach metody apelu, z żądaniem równej współpracy w społeczeństwie, odpowiadało jego tępotą, lub stwarzało warunki darcia się wewnętrznego o godności, ku krzywdzie ideologji, ewentualnie w najlepszym wypadku trafiało na bierność. Z tego założenia wychodząc, należy przy zamierzeniach asocjacyjnych organizacji społeczeństwa starać się w samej konstrukcji zredukować do minimum wymagania powszechnej współpracy, a w zamierzonej akcji szukać oparcia na wybranych jednostkach ideowych, podając społeczeństwu w należytej formie korzyści prowadzonej akcji, aby otrzymać zrozumiałą tolerancję dla sprawy, co stanie się już samo przez się pośredniem współdziałaniem w pracy.

Należy wziąć pod uwagę, że takie współdziałanie, jeśli się postara zagwarantować małą kłopotliwość i kosztowność, łatwe będzie do otrzymania w masowej reakcji społeczeństwa, stając się wygraniem wyżej wspomnianych życiowych momentów objawu społecznego, natomiast odnalezienie „kilku ludzi" dla bezpośredniego prowadzenia akcji jest o wiele trudniejszem, jakkolwiek napewno dla każdego terenu możliwem w łowiectwie, które posiada już delegatów powiatowych Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, będących pierwiastkiem ideologji Związku. Sytuację tę winno się wykorzystać i w pierwszym rzędzie połączyć z wygraniem wspomnianego życiowego objawu społecznego przez organizowanie nowej ochronnej akcji łowieckiej poprzez „strażników łowieckich" — s t r a ż ł o w i e c k ą. Takie postawienie sprawy, w mojem pojęciu, przy odpowiedniej organizacji, uzewnętrzni w znacznej mierze akcję łowiecką, a zapewni silniejszą ochronę samej idei.

Reasumując powyższe, jestem przekonany, że zorganizowanie w karne oddziały „strażników łowieckich" zapewni sile społecznej akcji Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich dotarcie idei głównej do szerokich warstw społeczeństwa, a przez zastosowanie p e d a g o g i k i f i z y c z n o - o p t y c z n e j, zapewni jej należytą ochronę i wykonanie.

M u s i m y za wszelką cenę d ą ż y ć d o w y z b y c i a s i ę b e z k r e s n e g o w y c z e k i w a n i a n a m a j ą c e n a d e j ś ć w przyszłości powszechne, w pełnem tego słowa znaczeniu u k u l t u r a l n i e n i e s z e r o k i c h w a r s t w społeczeństwa, a d o p o m ó d z m u a k c j ą, d o s t o s o w a n ą d o o b e c n e g o u k ł a d u s p o ł e c z n e g o, która zresztą i w przyszłości nie będzie zbędną.

Należy zapewnić „Państwu Łowieckiemu", a w niem jego „Rządowi", wykonanie zarządzeń i ochrony prawa łowieckiego d r o g ą o r g a n i z o w a n i a, z a r z ą d z a n i a i k i e r o w a n i a s t r a ż n i k a m i ł o w i e c k i e m i — p o p r z e z S t r a ż Ł o w i e c k ą.

Ku chwale łowiectwa!

JULJUSZ KORYBUT-DASZKIEWICZ,

W OBRONIE JĘZYKA ŁOWIECKIEGO.

(Odpowiedź p. M. K. Pawlikowskiemu).

Niełatwa to rzecz wystąpić w szranki polemiczne z ciętem piórem kochanego radcy Pawlikowskiego. I dlatego żywię należną wdzięczność dla p. p. Hoppego Stanisława („Łowiec Polski" Nr. 3 1936) i Władysława Janty-Połczyńskiego („Łowiec Polski" Nr. 5 1936), którzy w swych cennych artykułach poparli walnie moje stanowisko. Szanownym Replikantom na artykuł p. Pawlikowskiego: „Język, czy gwara łowiecka" („Łowiec Polski" Nr. 34 1935), należy się wdzięczność całego świata myśliwskiego *), boć przecież stanęli w obronie tradycji, która była, jest i będzie świętością, ujęli się za kosztownym spadkiem ojców naszych, któremu oddawna zabrakło skutecznej opieki.

Wyciągam ze zbiorów moich pożółkły szpargał publicysty i pisarza Władysława Korotyńskiego, rękopis z 1882 r. p. t. „Kilka ogólników o myślistwie i kilka słów o pieśniach i języku łowieckim w Polsce" i czytam: „Język łowiecki polski jest bardzo bogaty, szkoda tylko, że znajduje się w wielkiem zaniedbaniu u nas, którzy tłomaczymy „tramwaj" na język polski, a terminy łowieckie polskie — zamieniamy obcemi".

Na walnym zjeździe Wielkopolskiego Związku Myśliwych, odbytym w dniu 3.XI.1935 r., inż. St. Woszczyński, w wygłoszonym referacie p. t. „Terminologja łowiecka", powiedział słusznie: „Niezrozumiałym i przykrym jest fakt, że większości myśliwych naszych brak tej koniecznej, a specjalnie u Niemców wysoko postawionej ambicji, posługiwania się czystą gwarą łowiecką, nietylko w słowie, ale i w piśmie".

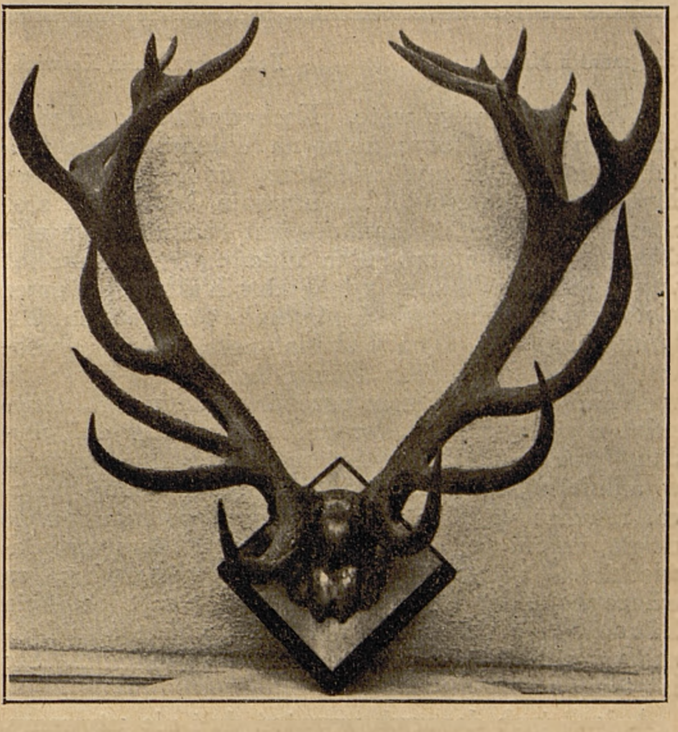
W „Merkurjuszu" **) zaś znajdujemy, wśród innych, te słowa:

„Gwara **) myśliwska spełnia także rolę języka technicznego i w tem leży jej waga nietylko życiowa. Kto, czy przez nieznajomość, czy też z innych względów unika będących w powszechnym użytku i utartych wyrazów gwarowych, ten stale będzie w kłopocie szukania długich i zazwyczaj skomplikowanych omówień, a wreszcie stanie wobec konieczności stworzenia nowotworu. Poco tworzyć nowotwory, gdy mamy bogactwo wyrazów odwiecznie starych".

Zarzuca mi p. Pawlikowski, mój zresztą szczery przyjaciel, że pisząc o języku myśliwskim, „pouczam imperatywnie", iż sarna nie ma rogów, a tylko p a r o s t k i, dzik nie ma krwi, a tylko p o s o k ę i t. d. Wszystko to podtrzymuję, oprócz tej tylko nieścisłości, że nie „pouczam imperatywnie", bo o tych wyrazach prawdziwy myśliwy wiedział, wie, lub będzie wiedział, a ja tylko p r z y p o m i n a m, jak było i jak jest, i jak być powinno, a mianowicie, że rogi sarny, to p a r o s t k i, krew dzika, to p o s o k a, rogi łosia, to r o s o c h y, krew niedźwiedzia, to j u c h a i t. d. i tego sztandaru — jak długo mnie ojczysta święta ziemia nosi — nie opuszczę. Poczuwam się bowiem wraz z całą plejadą myśliwych stanąć w obronie tych przepięknych, wymownych i na wieki w historji łowiectwa zakorzenionych wyrazów bogatego języka łowieckiego, który przecież jest składową częścią mowy ojczystej.

W słowniku języka polskiego, wydanym w Wilnie 1861 r., czytamy: „Wszystkie też ludy przeczuciem wiedzą, że mowa jest ich najdroższem mieniem, że jak rozwój z jednej, tak poszanowanie jej z drugiej strony, jest warunkiem ich żywota. Stąd to pochodzi, że każdy lud i człowiek, gorąco miłujący swą narodowość, do bałwochwalstwa prawie posuwa cześć dla ojczystego języka, a kto tego nie czuje, tem samem dowodzi, iż jest obojętnym na najszlachetniejszą cechę swojej narodowości".

Wielce Szanowny mój krytyk pisze w swym artykule, że bardzo poważni, bardzo kulturalni i bardzo znani wileńscy myśliwi „rozmyślnie unikają wyrażeń gwarowych, choćby się znajdowali w gronie wyłącznie myśliwskiem" i np. o wilczej w i e s z e — mówią: o g o n. Jakaż to przykra pomyłka i krzywda dla literatury myśliwskiej, zbudowanej i wyrosłej na uroczej ziemi wileńskiej! Każdy światły myśliwy ma choćby skromną bibljoteczkę myśliwską, ma ją też p. Pawlikowski i, jak widziałem, troskliwie się nią opiekuje. Wyjmijmy więc z niej monografję wilka Bolesława Świętorzeckiego, z krwi i kości autora Kresów Wschodnich; tu na stronie 9-ej czytamy dosłownie: „P u s z y s t y o g o n, t a k z w a n a w i e c h a, w y n o s i o k o ł o jednej trzeciej długości całego korpusu". A na stronie 11-ej, przy ogólnym opisie wilka znajdujemy — wśród innych — takie zdania: „Boki szare, spód białawy. Nogi żółto-szare. W i e c h a s z a r a, o c z a r n y m k o ń c u".



Rogi, wydobyte z rzeki Prosny w 1934 r. w Jedlcu, dobrach Elżbiety z ks. Czartoryskich hr. Zamoyskiej. Wymiary: długość 106,5/107 cm., rozpiętość 105 cm.; grubość róż 30/28,5 cm.; grubość łodyg nad końcem ocznym 22 cm.; grubość łodyg nad środkowym końcem 16,25/16,5 cm. Waga 13,5 kg.

Znam osobiście wielce zasłużonego p. prezesa Świętorzeckiego i wiem, że jest bardzo poważnym, bardzo kulturalnym, bardzo znanym i pełnym godności myśliwym, i dlatego właśnie używa określenia myśliwskiego „wiecha".

Język łowiecki od chwili swego tworzenia się, obowiązywał myśliwych, dzięki czemu powiększał z wiekami swój zasób słów, wyrażeń i określeń, a ówczesny łowca szczycił się posiadaniem jego i do jego zdobycia dążył usilnie. Był więc język łowiecki w wielkiem poszanowaniu u przodków naszych i to tak dalece, że znajomość jego była nieodzownym warunkiem wstąpienia w szranki prawdziwych rycerzy kosztownego i niebezpiecznego wówczas kunsztu łowieckiego. Tradycja ta przechodziła z pokolenia na pokolenie, aż przyszła utrata niepodległości, a z nią także upadek języka łowieckiego. Jednakowoż, zawdzięczając ludziom o wysokiej kulturze i godności

*) W sprawie artykułu p. Hoppego zajęła też przychylne stanowisko „Polska Zbrojna" z 28. I. 1936 r.

**) Sprawą języka łowieckiego, omawianą na łamach „Łowca Polskiego", zajął się „Merkuryusz Polski Ordynaryjny" Nr. 42, z dn. 10. XII. 1935.

**) Chyba język. (Przyp. Red.).

łowieckiej, upadek ten był tylko częściowy, bowiem aż do ostatnich dni niewoli rozróżniano w licznych jeszcze środowiskach — fryca od rzeczywistego myśliwego, a fryc, chcąc wejść w grono pasowanych myśliwych, musiał zadość uczynić pewnym przyjętym, a z całą ścisłością wymaganym warunkom, o których — wśród innych — tak mówi poeta-myśliwy *):

„I został myśliwym, gdy przywykł do lasu,
Gdy zwolna o jedno i drugie wypytał,
Obrządki myśliwe i język pochwytał".



Fragment z Mizoczy. Fot. J. hr. Dunin Karwicki.

Nie uwierzę więc w to, Kochany Panie Radco, aby Pan miał wierzyć, że są na Wileńszczyźnie subtelni i kulturalni myśliwi, którzy się wstydzą mowy łowieckiej i dlatego jej nie używają, bo... siebie szanują. Nie wierzę, bo zanadto jest Pan ideowym myśliwym i zanadto kocha Pan Wileńszczyznę. Przecież wychowankiem Wilna był Wiktor Kozłowski, autor pierwszej terminologji łowieckiej, przecież na Wileńszczyźnie żył Ignacy Bobiatyński, który opracował dwutomowe dzieło „Nauka łowiecka" i wydał je w Wilnie, ze specjalnem przeznaczeniem dla „litewskich myśliwych"; a „Poradnik dla myśliwych", wydany przez ziomka Wileńszczyzny Jana Szytlera w Wilnie, a „Kuchnia myśliwska" tegoż samego autora, również w Wilnie drukowana; podstawowe to dzieła, zajmujące pierwsze miejsca w literaturze łowieckiej. Są tam parostki i rosochy, są wilcze lampy i latarnia, jest posoka, lisia kita, słuchy, skoki i t. d., wzięte od wileńskich myśliwych i z poszumu lasów wileńskich... Sto lat temu...

A jeśli tych dawnych wyrażeń dziś nie używamy, to przyczynę tego znajduję w braku drukowanego podręcznika w kieszeni myśliwego na polowaniu, by mógł doń zajrzeć przy gorących dysputach — a w domu, aby czytając literaturę, czy pisma łowieckie, mógł pojąć i przyswoić sobie wyrażenia łowieckie. Przecież to jest całkiem naturalne: taksamo, jak dziś czytamy gazetę, czy też książkę, mając niejednokrotnie słownik, lub leksykon pod ręką. Przyzwyczaimy się do tych zapomnianych wyrazów, wymownych i barwnych niejednokrotnie, jak tęcza. Powrócą one i — daj Boże! — oby jak najrychlej.

W każdą niedzielę spożywam obiad z feljetonem p. Z. Nowakowskiego przed oczyma, a jakkolwiek potrawa mi nie smakuje, gdy czasami p. Nowakowski nie dopisze i kapitalnego feljetonu w I. K. C. nie napisze, to jednakowoż ośmielę się stwierdzić, że powołanie się w dyskusji nad językiem łowieckim, na „Dzwonek niedzielny" uważam za niezbyt szczęśliwe, chyba, aby tem silniej ośmieszyć ojczysty język łowiecki. Dała temu też wyraz redakcja wspomnianego „Merkurjusza Polskiego", pisząc między innemi te słowa:

„Przedewszystkiem, powiedzmy odrazu, że zamieszanie w dyskusji między p. Kobylańskim i p. Pawlikowskim wprowadził dowcip p. Nowakowskiego. Jest to pisarz zdolny, a nawet bardzo zdolny, lecz w niektórych sprawach brak mu wyczucia. Mianowicie p. Nowakowski niema wyczucia w tych sprawach, gdzie chodzi o subtelności dobrego smaku. Gwara łowiecka może być czasem kabotyńskim żargonem, właśnie wówczas, kiedy można się bez niej obejść. Lub w ustach myśliwego od święta, który, wziąwszy czasem strzelbę do ręki, uczuje nagle przypływ „myśliwskiego" animuszu. Lecz występować zawsze przeciwko gwarze łowieckiej nie trzeba. Nie trzeba mówić, że to wogóle kabotyński żargon. Nie trzeba".

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich wyłonił komisję, która rozpoczęła już pracę nad ustaleniem nazw myśliwskich. W imieniu komisji zapraszam do współpracy wszystkich kulturalnych myśliwych, prosząc o nadsyłanie do redakcji „Łowca Polskiego", lub na moje ręce (Warszawa 1, ul. Górnośląska 16 m. 38) różnych wyrazów myśliwskich i zapisków o języku łowieckim. Wierzę, że kilku myśliwych przyjdzie tu z pomocą sprawie dobrej i wartej gorącego poparcia; dla potomnych zarejestruję ich nazwiska, bo wiem, jak ciężko jest w Polsce pracować naukowo; gdy na sto listów, wysłanych z zapytaniem, nadejdzie odpowiedź od sześciu osób — to zwycięstwo; większego rekordu nie osiągnąłem — żal tylko pieniędzy, wydanych niejednokrotnie ostatnim wysiłkiem, na znaczki pocztowe. I słusznie napisał p. Z. Nowakowski w jednym z ostatnich swych feljetonów, że „u nas otrzymać odpowiedź na list, to także jest... przygoda polska. Lecz może „Komisja językowa" będzie szczęśliwsza i otrzyma pomoc bodaj od... siedmiu myśliwych.

Pisze Pan, Panie Radco, że „najniefortunniej wypadł „liniak", który — jak kresy długie i szerokie — oznacza liniejącego cietrzewia (zwanego też gdzieniegdzie — wypiorem), lecz nigdy zająca"... Przecież pisząc o tem, nie powiedziałem, że to nazwa na Kresach Wschodnich. Zgoda: liniak, lub wypiór, to ptak (nietylko cietrzew), nie neguję tego, ale Jan Karłowicz w „Słowniku gwar polskich" (Kraków, 1900, Tom III. str. 25), powołując się na Prace filologiczne V. 781, podaje: „leniak, liniak (wyraz myśliwski) = zając w porze letniej, gdy lenieje". Czy ten wyraz „liniak" będzie w przyszłej terminologji o takiem, czy innem znaczeniu, czy też zachowa obydwa swoje znaczenia, lub czy wogóle będzie pomieszczony — to kwestja do omówienia na komisji. Ja zaś ze swej strony uważam za konieczne powtórzyć tu słowa wspomnianego już „Słownika wileńskiego", mające ogólne i podstawowe znaczenie:

„Wszystkie zupełne dzieła słownikarskie zagraniczne obejmują, równie jak nasz słownik, wyrazy najrozmaitszej wartości, a Linde w swem dziele umieścił wszystkie nowości językowe Jacka Przybylskiego, z których ledwie kilka ocalało w żyjącej mowie. — A zresztą, któż wie, czy niejedno, co się komu wydaje dziwacznem, nie otrzyma uznania w narodzie na przyszłość? — Kładliśmy tedy wszystko, co miało jakiekolwiek znaczenie naukowe, lub lingwistyczne".

Co się tyczy podanej przezemnie nazwy „kapelusznik", to i tu nie mogę uchylić mojego kapelusza przed wywodami Kochanego Radcy. W „Łowcu Polskim" Nr. 5 1935 r., napisałem wyraźnie, że „kapelusznik" to nazwa starego odyńca (dzika) na Kresach Wschodnich, z powodu dużej, brodawkowatej narośli na czole. Nazwa ta więc nie może być powszechną na Kresach Wschodnich, bo powszechnym zgoła nie jest dzik z brodawkowatą naroślą na czole, czyli inaczej, nazwa myśliwska „kapelusznik" może być tylko wyrażeniem lokalnem.

*) Wincenty Pol: „Pan starosta Kiślacki", Poznań 1873, str. 4.

A przyznać muszę, że wyrażenie to jest bardzo trafne i pomysłowe, i w przyszłym słowniku języka łowieckiego nie powinno być pominięte, w myśl zasad wyżej zacytowanych. O istnieniu zaś nazwy „kapelusznika" dowiadujemy się z wiersza p. t. „Kapelusznik", zamieszczonego w „Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskiem" Nr. 7 1924 r. Nie miałem więc zgoła zamiaru czynić Kresom Wschodnim prezentu z „kapelusznika", gdyż jest on ich bezsporną własnością; na Kresy Wschodnie chciałbym pójść nie z pojedyńczem wyrażeniem, ale z całą terminologją, z możliwie hojnem sercem, choć atak najdroższego dla mnie po Lwowie Wilna zabolał nietylko mnie, ale szeroki ogół myśliwych.

Caveant consules!...

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

ŁOWIECTWO W STAROŻYTNOŚCI.

BABILON I ASYRJA.

Jedną z ciekawszych kart w historji łowiectwa na kuli ziemskiej jest bezwzględnie myślistwo w epokach przedhistorycznych. Jakże inne bywały wówczas łowy, jak bardzo bezpośrednią była walka człowieka ze zwierzem. Im bliżej naszych czasów, przechodząc do okresu historji starożytnej, tem dokładniejsze posiadamy wiadomości, udokumentowane w kamiennych płaskorzeźbach, w pieśniach, w zapiskach papyrusowych i pergaminach.

Z płaskorzeźb dowiadujemy się, że w Asyrji polowano najprzód pieszo, dopiero w roku 2000 przed narodzeniem Chrystusa królowie zaczęli polować konno, lub z dwukołowego rydwanu myśliwskiego.

Podczas gdy dzisiejsza Babilonja uboga jest w zwierzynę łowną, 4000 lat i więcej temu obfitowała we wszelkiego rodzaju zwierzęta, jak: słonie, leopardy, dziki, daniele, dzikie byki, kozły skalne, gazelle i t. d. Królewską jednak zdobyczą były lwy, na które polowano nietylko na wolności, lecz łapano je nieraz młodemi, chowano w ogrodach-zwierzyńcach, a gdy dorosły, urządzano na nie wspaniałe polowania.

W owych czasach siła fizyczna była jedną z największych zalet człowieka, toteż królewskie łowy na lwy były rodzajem areny, na której król wykazywał swą siłę, potykając się pieszo z rozwścieczonym zwierzem. W tym celu wkładał człowiek pancerz na lewe ramię, podobnie, jak czynili to w późniejszych czasach indyjscy maharadowie w potyczce z tygrysami, a prawa ręka, uzbrojona w ciężki miecz, zadawała śmiertelne razy. Odwaga ówczesnych mężów do dziś dnia nam imponuje i nie możemy się jej nadziwić, patrząc chociażby na płaskorzeźbę, przedstawiającą Sardanapala, trzymającego jedną ręką lwa za ucho, podczas gdy druga, uzbrojona w miecz, zadawała śmiertelny cios.

Nieprawdopodobne wydają się nam ilości zabitych lwów; tak np. król Tiglat-Pilezar I własnoręcznie zabił przeszło 1000 lwów.

Bardzo chętnie polowano również na gazelle, daniele i dzikie osły. Niema jednak pewności, czy mowa tu o dzikich osłach, czy też koniach; na te ostatnie polowano z lassem, które uważano za znacznie szlachetniejszą broń, niż sieci i wilcze doły.

Jako broń służyły krótkie oszczepy, długie, czasem bardzo ciężkie dziryty, miecze i duże łuki, do których używano ostrych strzał. Inaczej trudno byłoby uwierzyć, że Tiglat Pilezar I zabił 4 olbrzymie dzikie byki, 10 słoni i 120 lwów pieszo, zaś 800 z myśliwskiego wozu — które to zwierzęta padały przeważnie zabite strzałą i oszczepem, jak tego dowodzi napis, wyryty w kamieniu.

Assurnasirpal wzmiankuje w swoim „kamiennym dzienniku myśliwskim": „30 słoni zabiłem z łuku, 257 olbrzymich byków położyłem z mego rydwanu, 370 potężnych lwów padło przeszyte dzidą".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zakładane przez królów zwierzyńce służyły jako tereny, na których można było ubić większą ilość zwierzyny. Według kamiennych płaskorzeźb sądzić możemy, że ówcześni satrapowie mieli te same upodobania na polowaniach, co średniowieczni książęta okresu rokoko. Tak samo lubili, gdy podczas polowań nadworni śpiewacy nucili pieśni, a grajkowie przygrywali na lutniach. Król Khusran II, siedząc w łódce, zabijał nieprzeliczone ilości jeleni i dzików, które na niego napędzano, podczas gdy w tyle łodzi siedziały harfiarki i lutniści, którzy przez cały czas polowania pieśniami cieszyli królewskie ucho.

Do naganki używano niewolników, lecz nieraz też polowanie było prowadzone przy użyciu słoni i wielbłądów, jako naganiaczy.



Na stanowisku. Fot. inż. E. Woynicki.

Ciekawem zjawiskiem jest również, że niektórym królom nie wystarczały łowy na zwierzęta, zamieszkujące ich kraj, w tym celu wydawali nieraz rozkazy swym namiestnikom i satrapom, by przysyłali zwierzęta żywe z innych okolic, a jeśli to było niemożliwe, polecali przysyłać wypchane, które potem pokazywane były ludowi.

Jako pomoc w polowaniach, były też niejednokrotnie używane psy i to ciężkie, potężne dogi z olbrzymiemi głowami i psy w rodzaju dzisiejszych chartów. Satrapowie musieli utrzymywać olbrzymie ilości tych psów, gdyż, jak nam wiadomo, do utrzymania jednej psiarni królewskiej potrzeba było aż czterech wiosek.

PERSJA.

Zarówno pierwsi, jak i późniejsi, królowie perscy uważali polowanie, jako doskonałą zaprawę do wojen, które tak często prowadzili. Z tego też powodu łowiectwo stało bardzo wysoko w Persji. Ksenofont pisze, że królowie perscy osobiście baczyli, by młodzież jak najwięcej wynosiła korzyści z polowań. Cyrus stawiał tak wysoko polowanie, że nietylko polował na terenach, obfitujących w zwierzynę, ale jeszcze utrzymywał zwierzyńce wielkim nakładem kosztów, gdzie sam polował konno.

Królewskie łowy w Persji odbywały się zwykle przy pomocy silnych sieci, w które wpędzano dzikie osły, jelenie, dziki i sarny. Zakładano też fladry, gdy zauważono, że zwierzyna wymyka się z obławy.

Najbardziej zapisały się w historji łowy Dżingischana *), który nawet swym następcom zostawił następującą naukę: „Pilnie uczyć się łowów, by stały się one dobrą zaprawą dla wojowników". Na dworze tego możnowładcy chowano około 600 ptaków łowczych, z któremi polowano nietylko na drobną zwierzynę, lecz także i na dziki. Oczywiście mowa tu o wielkich orłach, które sprowadzano aż z Kaukazu.



Zbiórka myśliwych po miocie. Fot. inż. E. Woynicki.

Polowano też w Persji z naganką, która na kilka dni przedtem musiała spędzać zwierzynę z ogromnej przestrzeni, dosłownie 150 — 180 klm. Pierwszy strzał czy cios na polowaniu należał do króla, poczem dopiero dozwolone już było każdemu zabawiać się łowami na własną rękę. Cała zwierzyna, spędzona z tak olbrzymich przestrzeni, padała pod razami mieczów, oszczepów, lub rażona strzałami z łuków. Co nie padło z rąk myśliwych, padało w sieciach. Już wtedy uważano łowy, jako aprowizację olbrzymiej armji Dżingischana, co nieraz w późniejszych czasach spotykamy i u naszych królów.

Strzelanie z łuku było codziennem ćwiczeniem młodzieży. Najlepszym łucznikiem bywał ten, kto z galopującego konia na pięć strzałów niemniej jak trzy razy strącał z wierzchołka drzewa złoty kubek. Ciekawe przytem jest, że strzelano zawsze do tyłu, gdy koń już przebiegł obok celu, nigdy zaś do przodu. Zjawisko to obserwowano potem i u Hunnów.

Przy polowaniach na dziki i jelenie używano psów, dopiero gdy się pomęczyły, puszczano ptaki łowcze. Te atakowały zwierzynę i uderzeniami w oczy umiejscowiały ją, poczem znowu psy miały robotę.

W Persji zaprawiano specjalnie ptaki drapieżne do łowów. W tym celu puszczano na wypchanego jelenia czy sarnę orła, między uszy takiego jelenia układano kawałek mięsa na przynętę. Jeśli ptak bez namysłu uderzał między uszy, zdobywał tem samem w nagrodę przynętę. Jeśli zaś uderzał w oczy, wówczas puszczano takiego jelenia w ruch coraz szybszy. W ten sposób uczono ptaka utrzymywać się na umykającej zdobyczy i starać się obezwładnić ją. Tak wytresowane w łowach na jelenie ptaki, ćwiczono następnie do polowań na dziki i tak dalej, aż wreszcie uznano ptaka za zdatnego do łowów.

*) To chyba nie Persja. (Przyp. Red.).

Polowano również w Persji z pomocą gepardów. Zwierzę to biegło na łowach za koniem, nie zaś jak dziś jeszcze w niektórych krajach wschodnich wozi się je w klatkach. Z gepardem polowano przeważnie na szybkonogie gazelle.

Na drobną zwierzynę, jak zające, króliki i ptaki polowano przeważnie przy pomocy procy.

Na ptaki używano też często sieci, które rozwieszano między drzewami. Następnie puszczano ptaki łowcze, przeważnie mniejsze sokoły, a gdy ptactwo, przestraszone ukazaniem się drapieżników, kryło się po drzewach, wpadało wtedy w nastawione sieci, które potem wraz ze zdobyczą zdejmowano.

EGIPT.

Jako naród wojowniczy, byli i Egipcjanie myśliwymi. Do dziś właściwie niewiadomo, jak daleko wgłąb lądu afrykańskiego sięgała władza faraonów, wiemy tylko, że był to kraj olbrzymi, zamieszkiwany przez wszelkiego rodzaju zwierzęta. Nic więc dziwnego, że łowy u Egipcjan były niezmiernie ciekawe i często praktykowane. Wiemy np. z kronik, że faraon Amenophis III przez pierwszy dziesiątek lat swego panowania zdążył ubić własnoręcznie 120 lwów.

Najbardziej jednak lubianym rodzajem polowań były polowania na ptactwo wodne z łódki. W wyprawie takiej dostojnemu myśliwemu towarzyszyła niejednokrotnie małżonka i dzieci, czasem ulubiona niewolnica, która podawała swemu panu broń. Łódkę wpychano w gęste zarośla papyrusowe. Król trzymał na ręku oswojonego ptaka, który krzykiem swym pobudzał ukryte w gąszczach ptaki do lotu. Jako broni, używano na tego rodzaju polowaniach prawie zawsze kawałka drzewa, którym umiejętnie rzucano, lub też procy. Czasem używano krótkich oszczepów o podwójnem ostrzu. W ten sposób upolowane ptaki nie wystarczały jednak na utrzymanie wielkiego domu faraona, musiano więc i inaczej zdobywać pieczyste. Dlatego też polowano na ptaki zapomocą sieci i używano sideł. Złapanych ptaków nie zabijano odrazu, lecz łamano im kości skrzydłowe i nietylko karmiono je, lecz także tuczono, np. dzikie kaczki i gęsi, oraz żórawie. Ciekawem jest również, że polowanie z łódki na ptactwo wodne nie było dozwolone wszystkim, lecz było ono tylko przywilejem możnych, podczas gdy łowy na hipopotamy i krokodyle dozwolone były nawet niewolnikom. Na hipopotamy polowano z harpunem z łódki; jak polowano na krokodyle, bliżej niewiadomo, zwierzę to bowiem uważano za półboga, niemniej jednak niektóre płaskorzeźby przedstawiają polowania na te zwierzęta, które czyniły straszne szkody wśród licznych stad bydła. Jako broni, używano oszczepów, któremi uderzano w oczy.

Na lądzie polowano przeważnie z psami. Już w tych czasach u Egipcjan znane były trzy rodzaje psów myśliwskich, a mianowicie psy, które odnajdywały zwierzynę, inne do jej pędzenia i trzecie do przytrzymywania. Prócz psów polowano też przy pomocy gepardów, a nawet używano do łowów specjalnie w tym celu tresowanych lwów.

Psy musiały najpierw wytropić zwierza, dopiero potem puszczano inne, które trzymały tak długo, aż wreszcie przyszedł myśliwy. Możni Egiptu używali do polowań dwukołowych rydwanów, bardzo zaś rzadko szli piechotą.

W Egipcie odróżniano cztery najważniejsze rodza-

je polowań na lądzie. Z psami na gazelle i antylopy, z których oryxy i hartebeesty przedstawiały najbardziej pożądaną zdobycz. W okolicach górzystych polowano z psami na kozły skalne i barany górskie. W tych polowaniach myśliwi ustawiali się na przesmykach, podczas gdy psy goniły. Jako broni, używano wtedy przeważnie łuków.

Inny rodzaj polowania stanowiły łowy z sieciami. Wszystkie możliwe miejsca były obstawione sieciami, w które wpędzano zwierzynę, by ją następnie dobić zapomocą strzały i oszczepu.

Na lwy polowano z psami, z wielkich rydwanów myśliwskich, strzelano zaś do nich z łuków.

Liczne płaskorzeżby przedstawiają często faraonów na łowach. Z nich to wiemy, że jako broni myśliwskiej używano procy, strzał, lassa, oszczepów. Broń podawał królowi zawsze ktoś z jego świty.

Lasso używane było również jako broń, gdy chciano zwierzę schwytać żywcem. Przeważnie łowy z lassem miały miejsce na gazelle, antylopy krowie i bawoły. Z lassem polowali zwykle niewolnicy, możni i faraonowie traktowali ten rodzaj łowów, jako sport i zaprawę do wojen.

Z początku faraonowie polowali tylko na przestrzeniach otwartych, z czasem jednak brak czasu nie pozwalał im na wydalanie się w celach myśliwskich do dalszych terenów i dlatego, chcąc polować, musieli zakładać zwierzyńce.

W historji łowiectwa w Egipcie nie spotykamy ani razu mowy o koniu myśliwskim. Wilcze doły również nie były praktykowane w łowach egipskich, podczas gdy w niedalekiej Libji ten rodzaj polowania był specjalnie lubiany.

Faraonowie polowali nietylko w kraju własnym, ale też z rozkoszą oddawali się temu zajęciu podczas wypraw wojennych. Dowodem tego jest fakt, że Thutmosis III podczas ósmej swej wyprawy do Azji położył niemniej, jak 120 słoni.

*

Badanie historji łowiectwa u starożytnych napotyka na wielkie trudności, dokumentami do badania są bowiem tylko płaskorzeźby i nieliczne zapiski papyrusowe. Od tej jednak chwili, t. j. od chwili zajęcia się Grecją i Rzymem, badania te są już znacznie ułatwione, gdyż istnieją tam już tabliczki z pismem oraz pergamin. Badanie więc historji rozwoju łowiectwa u Greków i Rzymian ma już swe podstawy bardziej dokumentalne, dlatego też dane co do tych czasów są znacznie dokładniejsze. Aczkolwiek, jak już powiedziałem, badanie łowów u Asyryjczyków i Babilończyków, czy wreszcie Staropersów napotyka na trudności, jednak to, co nam płaskorzeźby i nieliczne dokumenty historyczne przekazały, pozwoliło na ustalenie pewnych danych, na podstawie których można mieć wyobrażenie o rodzajach łowów, systemach broni, jaką wówczas używano, rasach psów, gatunkach ptaków łowczych i wiele innych danych.

MIECZYSŁAW MNISZEK - TCHORZNICKI.

LIS I ZAJĄC

BAJKA.

Sezon łowów się skończył... Gdy ostatnie strzały
W kniei przebrzmiały,
Nasz zając, choć zgoniony i bliski obłędu,
Oczadziały od wrzawy, huku, dymu, swędu,
Odrazu zyskał na minie;
Zaległ w kotlinie,
Mrucząc pod nosem (wierzcie lub nie wierzcie):
— Spocznę nareszcie...
Jestem niby okręt przez burzę rozbity...
Zasnął twardo i... ocknął się w zębach Mykity.
Biedak w płacz: — To gwałt! To jawne bezprawie!
Postępujesz wbrew naszej łowieckiej ustawie,
Wszakci ona pod wiosnę surowo zabrania
Wszelkiego polowania!
Lis na to: — Bynajmniej nie poluję, mój bratku,
Jestem tutaj z urzędu odnośnie podatku...
Instrukcję mam wyraźną: dura lex — przyznaję
I nawet — tu lis chrząknął — serce mi się kraje,
Czuję, że będę płakał z tobą unisono,
Lecz cóż robić? — dasz skórę pro publico bono!
A że lubił cytaty, więc na zakończenie
Dodał wzniośle: Ach... wierz mi, że czyste sumienie
To skarb większy, niż nasza doczesna powłoka,
Choćby była najbardziej ciepła i szeroka...
Przekonałem cię, sądzę, drogi niedowiarku...
Tu swe zęby zacisnął na zajęczym karku.
— Przyjacielu — rzekł zając — w obliczu wieczności
Pozwól służyć i tobie i twej potomności
Radą skromną i wolną od czczych komunałów:
Skoroś lisem — łup skórę, lecz oszczędź morałów.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

OD REDAKCJI.

5 LUTEGO B. R. ROZPOCZĄŁ SIĘ STRAJK DRUKARSKI, WSKUTEK CZEGO Nr. 5 „ŁOWCA POLSKIEGO", Z DATĄ 10 LUTEGO B. R., WYDALIŚMY Z TRZYDNIOWEM OPÓŹNIENIEM I TO JEDYNIE DZIĘKI WCZEŚNIEJSZEMU PRZYGOTOWANIU MATERJAŁU.

STRAJK ZAOSTRZYŁ SIĘ JEDNAK I TRWAŁ DALEJ, AŻ DO 29 LUTEGO WŁĄCZNIE. NIE MOGĄC Z TEJ PRZYCZYNY WYDAĆ ZAMIERZONEGO Nr. 6/7 (PODWÓJNEGO) W TERMINIE 1 MARCA R. B., WYPUSZCZAMY GO ZE ZNACZNIEJSZEM OPÓŹNIENIEM I Z TEGO WZGLĘDU WYDAMY DOPIERO W DNIU 20 MARCA B. R. DRUGI PODWÓJNY NUMER „ŁOWCA POLSKIEGO" — Nr. 8/9.

TAK ZAPEŁNIWSZY LUKI W WYCHODZENIU NASZEGO CZASOPISMA, WYWOŁANE PRZEZ DŁUGOTRWAŁY STRAJK, OD 1 KWIETNIA B. R. BĘDZIEMY JUŻ MOGLI WEJŚĆ W NORMALNY TRYB UKAZYWANIA SIĘ „ŁOWCA POLSKIEGO", O CZEM NINIEJSZEM ZAWIADAMIAMY WSZYSTKICH SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW.



Z polowania w Puszczy Komajskiej. Od lewej pp.: St. Eynarowicz, inż. W. Tomaszewski, inż. St. Filipkowski i Wł. Gieysztor przy szczęśliwym pokocie.

MYŚLISTWO A FOTOGRAFJA.

Jaką kamerę zabrać na polowanie? Jest to pytanie, które często zadają mi myśliwi. Chcę na pytanie to odpowiedzieć bardziej wyczerpująco i dlatego wybrałem tę drogę, aby szersza rzesza braci myśliwskiej skorzystać mogła z mych spostrzeżeń, opartych na długoletniej praktyce. Chcę zaoszczędzić jej zbytecznego błądzenia i dezorjentacji w chaosie, wprowadzonym przez liczne reklamy i wreszcie zniechęcenia się do fotografowania z powodu wiecznie nieudanych zdjęć, oraz straconych wysiłków i pieniędzy.

Nieodpowiednio dobrany aparat i błony, jest to to samo, co użycie nieodpowiedniej broni lub nabojów do danej zwierzyny.

Oczywiście, myśliwy-fotograf obecnie nie zadowala się już stereotypowemi zdjęciami grup oraz rozkładów upolowanej zwierzyny. Zainteresowanie jego w tej dziedzinie sięga coraz dalej. Pragnie on uwiecznić momenty bardziej interesujące z przebiegu polowań, sceny z życia zwierzyny, utrwalić na kliszy najbardziej emocjonujące myśliwskie przeżycia — odtworzyć w obrazku życie kniei.

Wszelkie próby połączenia aparatu fotograficznego ze strzelbą, drogą przymocowania kamery do luf strzelby, w ten sposób, że naświetlenie kliszy następuje jednocześnie ze strzałem, lub na chwilę przedtem, nie dały pozytywnego wyniku i przypuszczalnie nie dadzą. Trzeba byłoby zbudować specjalną strzelbę-aparat, która w rezultacie okazałaby się złą, ciężką i niezręczną strzelbą i jeszcze gorszym aparatem fotograficznym. Zresztą, dałoby to możność fotografowania li tylko zwierzyny, nie każdy bowiem myśliwy potrafiłby przybrać „przyjemny wyraz twarzy" przed takim objektywem. Na celność strzału wpłynie taka manipulacja ujemnie, pozostawiając też pod wielkim znakiem zapytania rezultat fotograficzny. Zatem należy przejść nad tem do porządku dziennego i pogodzić się z tem, iż muszą tu służyć nam dwa oddzielne sprzęty: strzelba i aparat, przyczem ten ostatni musi być jak najbardziej dostosowany do myśliwskich warunków.

Otóż kamera, jak każdy inny sprzęt myśliwego, wina być lekka i poręczna. Nie może absorbować myśliwego trudną manipulacją: zmianą klisz, ustawianiem statywu, nastawianiem na matówkę i t. d. Musi to być aparat, który zapewni myśliwemu tak szybkie funkcjonowanie, jak i strzelba.

Wszak nie weźmie myśliwy ze sobą, wybierając się na łowy w ciężkim terenie, broni podobnej do armaty, toteż najodpowiedniej będzie, zaopatrując się w rynsztunek fotograficzny, wybrać aparat t. zw. „miniaturowy". Aparatów o tym typie jest legjon, niemal wszystkie przeszły przez moje ręce, aż definitywnie zatrzymałam się na aparacie niemieckim „Leica" firmy Leitz. Wszystkie wyżej wymienione zalety znalazłam w tej kamerze.

Tu zaznaczyć muszę, że wyjątkową i specjalną zaletą „Leici", której nie posiadają inne aparaty tego typu, jest to, że daje się nią manipulować z łatwością jedną ręką. Ta właśnie zaleta umożliwiła mi dokonanie wielu pięknych i ciekawych w swoim rodzaju zdjęć. Nieraz tą drugą ręką musiałam uczepić się krzaku lub skały, by nie zlecieć w przepaść, czy też nie ugrzęznąć w bagnach Polesia.

Aparat ten, dzięki technicznej konstrukcji, o wy-

jątkowej sprawności działania, między innemi zaletami, umożliwia dokonanie w ciągu kilku sekund szeregu zdjęć z tegoż tematu, dając nam możność wybrać najlepsze.

Widzi się odpowiedni moment — trach! zrobione; wtem ukazuje mi się nowy temat i przewiduję zdjęcie jeszcze ciekawsze. Nic straconego: powtórzone, utrwalone. Tymczasem z każdą inną kamerą, niż „Leica", już patrzałabym tylko ze smutkiem za uciekającą zwierzyną, lub innym motywem...

Kaseta „Leici" posiada około 40 zdjęć, więc nie potrzebujemy się specjalnie obawiać, że w najciekawszej chwili zabraknie nam kliszy — przyczyna, dla której często opuszcza się piękne momenty i w rezultacie wraca się z niczem do domu.

Ta duża ilość zdjęć często mnie ratowała. Naprzykład zimą, kiedy w wielki mróz zmiana błon nie przedstawiałaby wielkiej przyjemności, narażając przytem błony na połamanie.

Na większą ilość zdjęć z „Leici" niemal każdy sobie może pozwolić, gdyż jedno zdjęcie przeciętnie wynosi koszt 7 groszy.

Mały rozmiar kliszy pozwala na bliższe podejście do tematu, dając ogromną plastyczność i jednocześnie nie deformując przedmiotu, przy większym już rozmiarze w tych samych warunkach musiałabym się obarczyć jeszcze dodatkowemi soczewkami, co jest zazwyczaj kłopotliwe i ciężkie.

Ogromna jasność objektywu daje szeroką skalę możności fotograficznych. Nie jesteśmy uzależnieni od pogody, możemy fotografować w dżdżyste dni, o zmierzchu i o poranku. Z łatwością uwiecznić możemy miły nastrój, panujący w leśniczówce po polowaniu, przy bigosie i kieliszku, nie używając do tego magnezji, ani innych temu podobnych wybiegów, a poprostu przy zwykłej naftowej lampie.

Ileż pięknych, nastrojowych zdjęć udało mi się uchwycić we mgle porannej, lub o zachodzie słońca!

A bijące się cietrzewie utrwalone na kliszy? Czyż to dla myśliwego nie najmilsza pamiątka chwil, pełnych emocji, spędzonych w budce na tokach? Mglisty poranek nad wodą podczas sadów kaczych i wiele, wiele innych, wydawałoby się nieuchwytnych dla zwykłego objektywu, a jednak możliwych dla „Leici".

Jeszcze większą skalę przyjemności w swych rezultatach mieć możemy, fotografując z teleobjektywem. Do każdej większej kamery dostosowany teleobjektyw stwarza już niezręczną machinę o wadze kilku kilo. Przy „Leice" zaś jest to niewielki przyrząd, zbliżający temat 10-krotnie i dający możność fotografowania przedmiotu odległego o ca 300 kroków, a więc wychodnego rogacza, jelenia, łosia i t. d. i t. d. łatwo mieć możemy w swoim albumie myśliwskim.

ZOFJA CHOMĘTOWSKA.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, przypomina powtórnie, że wszystkie Oddziały i Stowarzyszenia Związkowe winny nadesłać sekretarjatowi centrali pełne wykazy imienne swych członków celem wystawienia legitymacji związkowych na rok bieżący.

STATYSTYKA ŁOWIECKA.

Umieszczone w „Łowcu Polskim" artykuły, omawiające statystykę łowiecką, powinny obudzić w świecie łowieckim jak najżywsze zainteresowanie *).

Niestety uzyskanie danych statystycznych napotyka na spore trudności, gdyż przerost wymagań statystycznych we wszystkich działach gospodarczych i administracyjnych całej Polski — wymagań, skierowanych prawie wyłącznie do władz administracji ogólnej, wywołał przeciwakcję czynników statystyką nader obciążonych, a specjalnie wymagania danych statystycznych myśliwskich były nawet stawiane w prasie codziennej, jako przykład nieuzasadnionych obciążeń biurokratycznych.

Tymczasem łowiectwo, mogące być w Polsce jednym z działów gospodarczych, które mogłyby znacznie podwyższyć nasz eksport, — że wspomnę cenę naszego zająca w kraju 2 zł., a we Francji 16 fr. — wymaga koniecznie danych statystycznych, bez których ani hodowla zwierzyny łownej nie będzie mogła być racjonalnie prowadzoną, ani eksport należycie zorganizowany być nie może. Zrozumiałem też stają się częste zapytania izb przemysłowych i handlowych oraz eksporterów o dane, dotyczące rozporządzalnej zwierzyny i miejsca jej uzyskania w większej ilości.

Ten dział statystyki jest też, zdaniem mojem, najważniejszy i prawdziwie potrzebny, tak dla podniesienia łowiectwa, jak też i ożywienia eksportu.

Tymczasem w ostatnim artykule o statystyce, nie znajdujemy ani zainteresowania się ilością zwierzyny, ani kwestją jej eksportu **). Pytanie jaką kwotą myślistwo przyczynia się do wzmożenia obrotu handlowego, jest zapewne ciekawem, jednak niema decydującego znaczenia ekonomicznego, gdyż wysokość wydatków na łowiectwo stoi w prostym stosunku do stopnia zamożności społeczeństwa; jeden myśliwy wyda na to samo polowanie dwu- lub trzykrotnie więcej, niż drugi; jeden będzie miał wspaniałą i drogą broń, ale mało ubije, a drugi ze zwykłej jednorurki osiągnie pokaźne trofea. Koszty wykonywania łowiectwa w małym procencie mogą wpłynąć na zwiększenie obrotu handlowego, a jeżeli myślistwo jest deficytowem — a takiem jest u nas bezsprzecznie — to z punktu interesów społecznych, może być uważane jako niepotrzebne, gdyż znajdą się tacy, którzy będą się starali udowodnić, że kwoty na łowiectwo wydane możnaby jednakże w inny sposób korzystniej dla gospodarstwa społecznego użyć.

Natomiast konieczną jest wiadomość, ile przeciętnie wypada ubitej zwierzyny na jednego myśliwego, lub na jeden hektar powierzchni ziemi w Polsce.

Tak też pojmują statystykę łowiecką zagranicą i w tym kierunku należy skierować usiłowania, aby za pośrednictwem dobrze zorganizowanych delegatów, pozostających w bliskim kontakcie z posiadaczami obwodów łowieckich samoistnych i dzierżawnych, uzyskać dane, któreby były wytycznemi dla potrzeb hodowlanych i dawały obraz uzyskanych rezultatów polowania oraz możliwości eksportowych w obrębie powiatu, z czego dowiemy się danych, dotyczących województw, a wreszcie całego Państwa.

A. ULM.

*) Władysław Zabiełło: „Potrzeba statystyki" i „Jak zabrać się do stworzenia statystyki łowieckiej". Nr. 20 i Nr. 33 „Łowca Polskiego" z 1935 r. *(Przyp. red.)*.

**) Wprost przeciwnie! Artykuł pierwszy mówi o tem wyraźnie, jako o jednej z najgłówniejszych rubryk statystyki łowieckiej (ilość zwierzyny), a w artykule drugim czytamy zdanie: „Dalszym etapem prac centrali statystycznej byłoby obliczenie wartości ubijanej zwierzyny i produktów z niej, jak również obrotu eksportowego zwierzyną żywą i bitą, a wreszcie ewidencja przynajmniej ważniejszych rodzajów zwierzostanu w najbardziej przybliżonych cyfrach". *(Przyp. red.)*.



Z polowań Zegrzeńskiego Towarzystwa Łowieckiego. Fot. mjr. St. Śliwiński.

Z WABIKIEM NA LISA.

Dawne to już lata, gdy, jako młody adept leśnictwa, wstąpiłem na praktykę do nadleśnictwa L. Ojciec odpowiednio urobiony wyłożył okrągłą sumkę na trójlufkę, myśląc, że to przecież już niedługo potrwa, a będzie ojcem nadleśniczego. Był to dryling Teschner - Collath 12 × 12 × 8 mm, ciężki aż strach, kolba była za długa dla mnie i za prosta, ale cóż to mnie mogło obchodzić, takiego młodzieńca, któremu się zdawało, że cały świat dla niego jedynie się kręci. Z fantazją i humorem dźwigałem go dzień w dzień, a gdy gładziłem piękne rzeźby na części zamkowej, zdawało mi się, że z takiej broni nie można nie trafić. Ale, prawdę powiedziawszy, strzelać, a tem więcej trafiać, nie było do czego, bo sezon zajęczy już minął, a te parę kaczek na częściowo tylko zamarzniętej rzece było trochę mądrzejsze, niż mi się zdawało.

Pewnego dnia, przeczytawszy gdzieś coś o wabieniu lisów, zapytałem mego szefa, czy zna ten rodzaj polowania. „Zaraz panu zademonstruję" — brzmiała odpowiedź i po chwili grzebania w biurku dziwaczne dźwięki skrzeku zajęczego rozległy się po pokoju. „Niech pan sprobuje" — powiedział p. nadleśniczy, podając mi wabik. Trzymałem więc w rękach ów komiczny instrument, ale jakoś nie czułem się na siłach do występów wirtuozowskich i pobiegłem do stajni. Siadłem na snopku siana i kazałem parobkowi posłuchać, co mu też zagram. Oświadczył mi po chwili z całą powagą, że to brzmi całkiem tak, jakby kto dusił zająca.

Minęło parę dni, podczas których zawsze gdzieś na uboczu trochę się poćwiczyłem, aż pewnego razu nadleśniczy, stojąc przy oknie z fajką w zębach — która jego zdaniem należała do cech charakterystycznych prawdziwego nadleśniczego, wskutek czego usilnie mnie namawiał do tej rozkoszy, oświadczył:

— Dzisiaj jest wymarzona pogoda na wabienie lisów.

— No to ja się zaraz wybiorę — odpowiedziałem.

— Dobrze, niech pan idzie, ja, niestety, nie mogę, bo dzisiaj nadleśniczy jest więcej pisarkiem, niż leśnikiem.

Musiałem jeszcze wysłuchać szczegółowej instrukcji, dokąd pójść, gdzie stanąć, jak się zachować i t. p.

— I niech pan nie wraca bez lisa.

— Byle się zjawił—odrzekłem—boć co to za sztuka strzelać do spokojnie nadchodzącego lisa, przecież z dubeltówki ojca już kilkanaście zajęcy postawiłem na głowie i nawet jednego lisa mam na sumieniu.

Z rękami zanurzonemi prawie po łokcie w kieszeniach ruszyłem do lasu. Dzień był bezwietrzny i śnieg padał wielkiemi płatami, a w piersiach grały mi organy. Zdawało mi się, że cały świat do mnie należy, miałem strzelbę na ramieniu, mogłem strzelać do lisów ile mi się będzie chciało, mogłem polować, jak długo mi się będzie chciało.

...Tylko bez lisa nie miałem wracać do domu.

Nie spieszyło mi się z wabieniem — w lesie było tak ślicznie, wprost nierealnie pięknie — jak na obrazku. Wałęsałem się bez celu, bez pragnień, bez myśli — tylko zasłuchany w to, co mi tak w piersiach grało, czy śpiewało — byłem szczęśliwy!

Wreszcie jednak zdecydowałem się spróbować szczęścia. Obrałem sobie miejsce, oddrapałem stopami śnieg, aż stanąłem na gołym wrzosie, wyciągnąłem zegarek, by skontrolować czas, bo w uszach brzmiały mi słowa nadleśniczego: „...conajmniej kwadrans trzeba stać bez ruchu" — i zacząłem lustrować otoczenie, by oznaczyć miejsce, na którem ten upragniony lis miał się zjawić. Miałem czasu dosyć. Dzisiaj mogę w suchych słowach powiedzieć, że miejsce obrałem na tak zw. „parszywej kulturze, gdzie nic rosnąć nie chce". Były tam kępy świerków z podsadzania i duże place bujnego trzcinnika z pojedyńczemi sosenkami, które zdołały się uchować od wygłuszenia przez trzcinnik i od ogryzania korzonków przez pędraki.

Ale wówczas oko moje nie było jeszcze zmącone mgłą znajomości fachowej i patrzało w upojeniu na

świerki, strojne płatami śniegu, opuszczające wskutek tego trochę żałośnie swoje gałęzie — na wysokie źdźbła trzcinnika, chwiejące się łagodnie i miarowo, skoro płatek śniegu umieścił się na kłosie i swoim ciężarem uruchomił wahadło. Czas mi się nie dłużył i gdy sięgnąłem po zegarek, wskazówki przesunęły się już o 20 minut dalej; trzeba było więc zacząć.

Ale jak się do tego zabrać, przecież nie można tak odrazu zacząć trąbić.

Czułem się, jak aktor, który po raz pierwszy stoi przed publicznością.

Przytknąłem wabik do ust, zamknąłem oczy i wyobrażałem sobie, że lis urządził napad na zająca. Wysiłek woli tak wyraźnie, jak na ekranie, przedstawił mi przed oczyma duszy ten obraz: lis, podszedłszy do oddającego się marzeniom w kotlinie zająca, jednym susem dopadł go i schwycił za kark — rozległ się serce rozdzierający lament biednego szaraka (usta moje i ręka wykonały prawie automatycznie potrzebne ruchy) — lecz jedno rozpaczliwe szarpnięcie i zając oswobodzony rusza w dal, jednak oszołomiony uderza o krzak jałowca, aż go odrzuciło i teraz już jest zgubiony, bo lis błyskawicznym chwytem złapał go wpół i zając biadaniem coraz cichszem żegna ten świat.

Ślicznie to poszło, aż mi się włosy zlekka zjeżyły i po plecach zimno mi przeleciało, tak byłem przejęty moim koncertem — ale trema prysła, byłem „wgrany". Rzuciłem okiem na zegarek i po pięciu obowiązkowych minutach z całym spokojem bisowałem i teraz patrzałem na to miejsce, gdzie lis powinien wystąpić na scenę.

Raptem, jak w kinie, zjawia się, przechodzi spokojnie parę kroków, opiera się przedniemi łapami na pniaku, ukazując swą frakową pierś i rozgląda się za spodziewaną pieczenią. Miałem go na 20 kroków — z wyrazu jego pyska czytałem wprost: „Zdawało mi się, że to jednak tu..."

Serce moje próbowało parę razy skoczyć do ust, ale się opanowałem, powolutku umieściłem muszkę za łopatką lisa i już całkiem jak na strzelnicy pociągnąłem za spust. Huknął strzał, lis zakręcił kitą i już go nie było. Coś niepojętego dla mnie się stało: strzelałem na krótki dystans do stojącego lisa i chybiłem! — nie do wiary — nie, to nie złudzenie, bo wyciągam wystrzeloną, dymiącą jeszcze łuskę z komory. Ale może lis po paru susach legł martwy — gdzietam — po paru gwałtownych skokach trop wykazuje spokojny galop i ani odrobiny farby — czyste pudło, jak łza.

Słaba tylko pociecha, że jednak umiem wabić.

Co teraz począć? Poszedłem prosto przed siebie, bo do domu nie chciałem wracać; jak tu się przyznać, że chybiłem lisa na taką odległość, a przecież nie miałem wracać bez lisa. Teraz już nic nie widziałem z piękna lasu, przed oczyma stał mi obraz lisa ze śnieżną piersią i jakby szyderczym wyrazem twarzy. Chyba setki razy zadawałem sobie pytanie, jak to było możliwe.

Gdy trochę się uspokoiłem, postanowiłem spróbować szczęścia jeszcze raz.

Tym razem stanąłem w sosnowym starodrzewiu tak, że miałem tuż przed sobą kupę chróstu, a kilka kroków dalej przebiegał szeroki trakt, oddzielający starodrzew od drągowiny, z której miał wyjść lis. Stałem na pniaku tak, że kupa chróstu zasłaniała mnie do wysokości piersi.

Zawabiłem raz i drugi, i jak na zawołanie wysunął się lis na trakt i biegł nim wolnym truchcikiem. Mając wrażenie, że już bliżej nie podejdzie, skrupulatnie wymierzyłem na pół długości przed lisa. Gruchnął strzał, lis zawraca i pełnym biegiem pragnie osiągnąć ścianę młodego lasu. Poprawiam z lewej lufy i już go niema. Czary, czy co?! Tak mi się miękko zrobiło w kolanach, że musiałem usiąść na pniaku.

Mechanicznie otworzyłem broń i wyciągnąłem dymiące jeszcze łuski. Tak, to dowód oczywisty — znów najoczywistsze pudło. Z goryczą w sercu spojrzałem na broń... O, mój drylingu kochany — taki to z ciebie przyjaciel!?...

Jak po ciężkiej chorobie, dźwignąłem się, by poczłapać do domu.

...Nic nie powiem — dać się wyśmiać? — nie takim dryling ciążył na ramieniu, nigdy w życiu nie dźwigałem tak ciężkiej broni.

Przez całą drogę kombinowałem co w domu powiedzieć?.. Nic nie powiem, przecież nikt nic nie słyszał, ani widział... Jeżeli powiem, to nadleśniczy roześmieje się i powie: „Ba! Strzelać, a trafić, to są różne dwie rzeczy!..."

...Nic nie powiem — dać się wyśmiać — nie takim głupi!



Z miłem trofeum. Fot. inż. E. Woynicki.

Jednak w domu zaraz natknąłem się na szefa, widocznie czekał na mnie — może jego myśliwska dusza towarzyszyła mi po lesie z nad urzędowych papierków. Dość, że zaraz poczuł „pismo nosem" i — wszystko wyśpiewałem. Jakoś nie roześmiał się — może czuł, jak głęboko ta sprawa wlazła mi pod skórę, tylko powiedział: „To dziwne... niech pan pokaże naboje". Cóż, naboje w porządku, nieraz je oglądałem przedtem i potem, i te, które wystrzeliłem, były dobre, to się przecież czuje w strzale.

— Szkoda, trzeba było wypróbować broń.

Nazajutrz kazał mi odmierzyć 35 m., sam zaś przymocował na stodole dwa arkusze gazety w ten sposób, że lewa stronica była u góry i środkowy grzbiet tworzył poziomy biały pasek. W ten pasek kazał mi mierzyć i strzelić z prawej lufy do prawej płachty, a z lewej — do lewej. Zrobiłem to z całą skrupulatnością i okazało się, że w tarczach tkwią w jednej 2 ziarnka, a w drugiej 3 — w samym górnym marginesie.

— No, widzi pan, broń góruje o jakieś 30 cm. i żeby trafić lisa, trzeba mu było celować w łapy.

Ja jednak już nie słuchałem, miałem dość tego wszystkiego, a rozpacz w sercu.

Taka to była żałosna historja mego pierwszego występu z wabikiem na lisy. Od tego czasu upłynął, jak to w pierwszych słowach zaznaczyłem, szereg lat i dzisiaj, gdy na przebytej drodze mego życia myśliwskiego ułożył się już spory szereg kit lisich, każdemu myśliwemu, który może się obyć bez gwaru towarzyskiego i pobrzękiwania talerzy przy śniadaniu na nagankach, który zato jest takim myśliwym samotnikiem, czującym, że mu coś w duszy śpiewa, gdy

z fuzją na ramieniu może się wałęsać po lesie — mogę gorąco polecić ten sposób polowania i pewny jestem, że ten i ów po szczęśliwem zdobyciu kity wspomni o tych uwagach i jakieś życzliwe słowo pod moim adresem skieruje w przestworza.

Wiem, że podejmuję się podobnie trudnej sprawy, jak nauka tańca zapomocą radja. Ale trudno, może się jakoś dogadamy, a resztę dopełni spryt i dobra wola. Z konieczności muszę się teraz rozwodzić szeroko, omawiać drobiazgi tak, że proszę o cierpliwe przeczytanie tego, co mam do powiedzenia.

1. WABIK.

Sam instrument składa się z rurki drewnianej, w której znajduje się metalowy języczek, wydający dźwięki przy przepływie powietrza. Ważnem jest, by ten języczek miał miękki, delikatny dźwięk i już przy słabym przedmuchu brzęczał. Wabik, wydający twardy, metaliczny dźwięk i grający tylko przy silnem dmuchaniu, nadaje się jedynie na zabawkę dla dzieci.



Na dobrym przesmyku. Fot. S. Wodziński.

Na drgającym języczku leży klinowata blaszka, służąca do regulowania wysokości dźwięku. Jest to ważny szczegół, aczkolwiek nie potrzeba się tak bardzo krępować, bo tam, gdzie są króliki, nastrojenie na zbyt wysoki ton nie może zaszkodzić. Jedynie wystrzegać się trzeba zbyt niskiego, t. zw. baraniego głosu. Jeżeliby kto uważał, że świeżo kupiony wabik jest źle nastrojony, najlepiej zrobi, gdy go będzie stale nosił przy sobie i, skoro tylko gdziekolwiek usłyszy skrzek zająca, zaraz się przekona, czy wabik wydaje podobne dźwięki, a przez przesuwanie blaszki postara się to odpowiednio zmienić. Ewentualne inne manipulacje, np. zapomocą scyzoryka, na nic się nie przydadzą i mogą sprawę tylko pogorszyć. Jeżeli mimo kilkakrotnego przesuwania blaszki nie można z wabika wydobyć żadnego dźwięku, podobnego do skrzeku zająca, najlepiej położyć go na pniaku, wziąć od drwala siekierę i silnie uderzyć obuchem.

Wabik musi mieć ustnik zaokrąglony w gałkę wielkości orzecha laskowego. Inne wykończenie świadczy o nieznajomości rzeczy ze strony fabrykanta.

2. TECHNIKA.

By z instrumentu wydostać dźwięki, podobne do skrzeku zająca, nie wystarczy dmuchać weń, jak np. w trąbkę dziecięcą — trzeba je odpowiednio modulować, co czynimy zapomocą ruchów ręki i palców.

Odbywa się to następująco:

Wylot wabika chwytamy dwoma palcami — kciukiem i palcem wskazującym — w samem ich rozwidleniu i te palce spoczywają tam stale nieruchomo, pozostałe zaś to otwierają się wachlarzowato, by wypuścić dźwięk jasny w całem natężeniu, to przymykają się, tłumiąc go — poprostu dławiąc.

Ponadto całą dłonią wykonujemy ruchy boczne, wywołując drżenie — tremolo — podobnie, jak to robi skrzypek, przyciskający palcem strunę na szyjce skrzypiec, wachlując przytem przegubem ręki.

A teraz zaczynamy: przytykamy ustnik wabika do warg, odsadzając przytem łokieć tak, by znajdował się z barkami na jednym poziomie i wykonujemy pięścią ruchy wahadłowe przed nosem. Całe nieszczęście właśnie w tem, że nie umiem oznaczyć tempa tego ruchu. Pozostawiam to więc własnemu sprytowi i słuchowi muzykalnemu każdego myśliwego.

Chwileczkę dmuchamy w garść, wywołując brzęczenie coraz głośniejsze i naraz kolejno prostujemy palce, zaczynając od małego i raptownie znów wszystkie naraz zaciskamy w garść, przestając równocześnie dmuchać.

Dźwięk, wywołany w ten sposób, można ilustrować następująco: mmujjeejj. Proszę mi wierzyć, że łatwiej to zademonstrować, aniżeli opisać.

To, co wyżej w miarę sił i możności starałem się opowiedzieć, to cały kunszt, którego każdy musi się nauczyć.

3. TAKTYKA.

Wabik możemy nosić przy sobie stale, lecz wabić będziemy rzadko — im rzadziej, tem lepiej.

Wabić możemy tylko zimą i to dopiero, gdy ustaliła się już na dobre, bo lis przecież nie z powodu entuzjazmu muzykalnego zjawia się na miejscu koncertu, a jedynie dlatego, że go pcha przemożną siłą głód. Kiszki mu tak marsza grają, że jego wybitnie szkolone ucho nie jest już tak czułe na lekkie dysonanse przy wabieniu — bo żołądek alarmuje: — tam jest coś smacznego do zdobycia.

A więc musi być zima i to najlepiej śnieżna, ale mimo to wybierzemy na wabienie dzień bezwietrzny, koniecznie mroźny, bo mróz działa na powonienie— wiedzą o tem myśliwi polujący z gończemi — i to możliwie gdy prószy śnieg, bo wtedy lis wałęsa się cały dzień po lesie.

Główny sezon wabienia przypada jednak na okres cieczki, bo wtedy lis wogóle mało przebywa w norach, a z powodu amorów nie może zbyt wiele czasu poświęcać na szukanie pokarmu. Wabić możemy cały dzień, byle nie od samego świtu, bo należy przypuszczać, że wtedy lis jednak coś ma w żołądku, a jak już zaznaczyłem wabić będziemy jak najmniej.

Jeżeli jest powłoka śnieżna, możemy wabić i nocą, przy pełni księżyca. Wabić będziemy jak najrzadziej, ale i strzelać będziemy jak najmniej. Do zabicia wystarczy jeden strzał. Naogół strzały nie są trudne, bo lis przychodzi nawet na 15 m., ale zdarzają się jednak strzały wprost na ślepo, gdzie dopiero po strzale widzi się trafionego lisa, który chciał się błyskawicznie wycofać.

Zatem kto nie jest całkowicie obyty ze swoją strzelbą i nie umie trafiać poprostu z zamkniętemi oczyma — jak to się mówi — niech weźmie pomocnika i wypuści kilka strzałów do rzucanych butelek. Kto się wstydzi świadka, niech sam rzuca i strzela— efekt będzie jeszcze lepszy.

Ale i ten, kto oswoił się już ze swoją strzelbą, dobrze zrobi, gdy będzie w pełnem ubraniu składał się i celował z przyrzutu we wszystkich możliwych kie-

runkach. Przyda się to zresztą przed każdem polowaniem.

A teraz najważniejsze: gdzie wabić?

Oczywiście w lesie, bo tam lis jest w swoim domu.

Wyżej wspomniałem, że nieraz lis przyjdzie na 15 m., ale koniecznie trzeba tak stanąć, by przyszedł z kierunku, z którego się go spodziewamy, czyli od frontu, t. j. z wiatrem. Więc kardynalny warunek: trzeba tak stanąć, by lis nie przyszedł nam od tyłu i nie schwycił wiatru, dlatego za plecami musimy mieć przestrzeń stosunkowo odkrytą, jak np. starodrzew, niską kulturę, lub czystą drągowinę olszową. Stajemy zawsze za zasłoną, mniej więcej krok za jakimś świerczkiem, sosenką, czy jałowcem, o tyle dużym, by nasza sylwetka nie odznaczała się ostro od tła.

Następnie oddrapujemy stopami śnieg aż do gleby, by nam pod stopami nic nie chrupało, dalej wciągamy rękawiczkę na lewą rękę — kładziemy fuzję w lewy łokieć częścią zamkową (balans), przytrzymując ją lewą ręką w rękawiczce za kolbę, pozostawiając jednak szyjkę bezwarunkowo wolną — i czekamy — conajmniej kwadrans.

Czas ten wykorzystujemy na bardzo dokładne przestudjowanie terenu. Jest to czynność nadzwyczaj ważna. Musimy być zupełnie pewni, że tu, a nie gdzieindziej, zjawi się oczekiwany lis, jeżeli oczywiście wogóle zechce przyjść.

Jeżeli takiego miejsca nie znajdziemy, lub znajdziemy dwa, z których jedno jest trochę niedogodne. lepiej strzelbę wziąć na plecy i dalej szukać — nic straconego. Nie wolno nam dopuścić do tego, by lis nas zaskoczył, bo wtedy nietrudno o jeden nieopanowany ruch, a chyba wiemy wszyscy, jak błyskawicznie lis umie zniknąć i bądźmy pewni, że na przyszły raz będzie ostrożniejszy, a na tem przecież wcale nam nie zależy.

Taksamo nie zależy nam na tem, by lis uszedł postrzelony — raz, że to nieetycznie, po drugie szkoda, gdy zmarnieje, a po trzecie, gdy się wyliże, to już więcej nie da się nabrać. Zatem strzelać tylko na „pewniaka". Lepiej zatrzymać strzał w lufie, bo ostatecznie nic strasznego, że lis nas zobaczy tam, gdzie się spodziewał pieczeni zajęczej.

Pomyśli może sobie: „Konkurencja — psiakrew!"

Jeżeli obraliśmy miejsce i w ciągu kwadransa znaleźliśmy jedno tylko miejsce, na którem lis może jedynie się zjawić, zaczynamy wabić.

Przedmuchujemy najpierw wabik w odwrotnym kierunku, by broń Boże jakikolwiek drobiazg nie spowodował dysonansu. Potem puszczamy prosto przed siebie dwa akordy, rozdzielone krótką przerwą.

Mniej więcej tak: wrzaskliwe mujjeeejjj... — i bardziej desperackie ujjeejjuujjeeejjj.

Teraz czekamy bez ruchu conamniej pięć minut. Jeżeli gdziekolwiek mignie nam lis, więcej wabić już nie wolno.

Po pięciu minutach znów wabimy, już nie prosto przed siebie, ale w kierunku ziemi przed nami, zaczynając desperacko: ujej ujjeejjj, ujjeeejjj, przechodząc w jękliwe, coraz bardziej zdławione ujej uujejjej ujej, opuszczając pod koniec głowę na piersi. Jeżeli drugie wabienie nie sprowadzi lisa, to wabimy po pięciu dalszych minutach już całkiem zdławiono, zamierająco i krótko, kończąc pod połą kurtki. Na tem koniec, ale z odejściem trzeba się jak najdłużej ociągać, jak wogóle przy wabieniu nie można się śpieszyć. Zdarzyło mi się raz, że po bezskutecznem wabieniu na paru miejscach zaszedłem na pierwsze, by je obejrzeć z perspektywy lisa i odczytałem na śniegu, że lis jednak doszedł aż do samego stanowiska, by się naocznie przekonać, co tam właściwie skrzeczało i to tak na sucho, bo bez wiatru świeżej pieczeni, czy ciepłej farby.

A zatem na drogę złote przysłowie: „nie uważaj ludzi za głupszych od siebie samego", a tem mniej lisa.

ZYGMUNT OHL.

PRZEDWIOŚNIE.

Promieniem słońca wygrzana,
ostra woń roślin i ziemi
napełnia puszczę co rana
wraz z słońca skrami złotemi.

I rodzi się miłość w przyrodzie,
w oparach ziemi, z jej woni:
na ziemi, drzewach i wodzie
miłosna wszędzie pieśń dzwoni.

Ot — kaczor świsnął lotkami,
goniąc za oblubienicą,
wziął ją ze stada i sami
już pędzą: samiec z samicą...

W drzew cieniu, krążąc w oparze,
muszka zaleca się muszce,
a w wieczór ciepły na mszarze
klapać zaczęły już głuszce...

Po gajach drozdów chór śpiewa,
cietrzew nieśmiało bulgoce,
słonka szybuje nad drzewa —
Pełne tajemnic są noce...

O, gdybyż, gdybyż na chwilę
uciec od trosk i kłopotów
tam, gdzie się gonią motyle!...
Czy chciałabyś także?... Jam gotów!

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

RYSICA.

Puszcza ma w sobie moc tajemnic nieodkrytych. W puszczy odnajdujemy wieczną młodość czegoś nowego. Ile serc w niej łomoce trwogą i pożądaniem. Ile nocy miłosnych przeszło pod jej opieką. Puszcza jest zmienna, jak serce kochające. Jeśli się do niej nie przyjdzie z miłością, ukoić nie zdoła, lecz jeżeli przyjdziesz do niej po serce, to stanie się twojem zbawieniem. Bo puszcza ma w sobie pierwotnych ludzi leki. Jest groźna, kiedy ci serce rwie się do walki, jest pełna szeptów, kiedy przyszedłeś do niej od ludzi po ciszę, a jeśli chcesz zapomnienia, to nową drogę życia przed tobą odkryje. Puszcza jest inna latem i kiedy śniegi opadną, inna jest rankiem i kiedy słońce zachodzi. Ma w sobie moce woni żywicznych, trujących ziół, wonne zapachy kwiatów. Ma smutek dni minionych i grozę chwil, co nie wrócą. Puszcza jest dumna, bo wie, co ból, co żal i czem jest nicość. Puszcza jest wieczna, bo rodzi i umiera.



Osiedla w okowie zimowej. Fot. inż. E. Woynicki.

W Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie jest ryś, który przez plebiscyt otrzymał nazwę Biruta. Wspomnienie to jest historją jednej nocy letniej z odległej puszczy kresowej, która była powodem jego dzisiejszej niewoli.

*

Gajówka moja stała w środku Puszczy Belmonckiej, która ciągnie się od jeziora Brasławskiego aż het po Woropajewo, kilometrów przeszło sto. Za gajówką las rzedniał i widać było polanę, na której rozsiadła się wieś. W porównaniu do blisko stojących drzew chaty na niej zdawały się, jak zabawki. Przed domem szła ścieżka na most, który stanowił jedyne przejście przez bagnistą rzeczkę, która krętym łukiem płynęła tuż obok. Za nią wznosiła się potężna ściana świerków, którą przetykały białemi linjami brzozy. Tam rozpoczynała się tajemnica puszczy. Most był tylko dla pieszych i to chyliły się pod nogami zmurszałe jodły, a zresztą, do puszczy koniem nie sposób było wjechać. Kiedy żar płynął z nieba i cała natura zdawała się uśpiona, na bagnie pod mostem kipiało życie. Na czarnym mule szkliło się niebo, wodę przerzynały, jak łyżwiarze lodową taflę, długonogie komary, stada małych rybek grzały się pod powierzchnią, nad którą z zawrotną szybkością unosiły się tęczowe skrzydła wodnych panien (łątek). Przy trzcinach goniły się młode kaczki. Czasami z ponad puszczy wypływał kwiląc jastrząb i wisiał nad rzeczką, jak szpilką przypięty motyl. Było to w czerwcu, a więc w czasie wakacji myśliwego. Ale jak chodzić po puszczy bez celu, jakże innemi wydawałyby się noce, których o tej porze w Brasławskiem jakby niema, bo zaraz po zachodzie słońca gwiazdy bledną na niebie, jakże inaczej smakowałaby szklanka mleka, wypita w przygodnej chacie i każda rzecz zmieniłaby dla myśliwego swój sens. Więc celem było szukanie wilczych gniazd. Stary gajowy, u którego mieszkałem, nie był żadnym myśliwym. Chodził tylko co noc pilnować granicy od wsi, skąd nierzadko ruszał ktoś po drzewo do lasu. Odnalazłem więc na pobliskim chutorze chłopaka, który puszczę znał, jak własną chatę i niczem innem nie zajmował się, jak tropieniem zwierzyny. Puszcza, jeśli się chce poznać jej tajemnice, musi być domem swych mieszkańców i ciszy nie może mącić gon, ani krzyki obławy. Wtedy można poznawać jej życie nawet po szmerach i wiedzieć po śladach, gdzie i o jakiej porze obiera zwierz swoje siedziby.

Pierwszą naszą zdobyczą było gniazdo orła, z którego wybraliśmy pisklę w puchu, niezapowiadające niczem królewskiego ptaka. To był pierwszy mój towarzysz na gajówce. Co dnia śledziliśmy wytrwale po drogach ślady wilcze, domyślając się z nich, skąd mogą wychodzić od gniazd. Nie jest łatwem zadaniem odnaleźć je. Puszcza jest wielka i tyle w niej miejsc, gdzie pod wywrotem na mchach, czy w trawach wysokich, wśród niedostępnych bagien, chronią one przed zemstą ludzką swoje potomstwo. Ale człowiek umie wykorzystać głód i nudę wyczekiwania. Zaraz po zachodzie, kiedy stare wilki wracają ze zdobyczą, byliśmy na miejscach, gdzie odnaleźliśmy ich ślady i gdzie puszcza wskazywała na możliwość bliskiego gniazda. Przez szereg wieczorów tylko komary opadały nas chmurą i na nasz wab puszcza nie chciała niczego zdradzić.

Jednego jednak wieczoru odpowiedział mi niewyraźny skowyt. Sam go nie słyszałem, chłopak jednak zapewniał, że młode wilki napewno się odezwały.

Na drugi dzień rano znalazłem w gęstym brzeźniaku, koło wywrotu, wygrzewające się na mchu dwa małe wilczęta. Pewno stare, posłyszawszy zbliżające się niebezpieczeństwo, odniosły resztę gdzieś dalej. Radość była wielka. To, co zdawało się tylko legendą, nieuchwytnym mitem, nabrało rzeczywistości w nowych moich towarzyszach. Wilczki odziedziczyły ze wsi po niemowlęciu smoczek i prędko nauczyły się pić z niego mleko z butelki. Niedługo potem na rozległych mszarach złapaliśmy dwa młode żórawie. Stały się one odrazu moimi ulubieńcami. Jadły bez obawy z ręki, kując ją silnie dziobami, a ulubionym ich przysmakiem był biały ser. Spały w koszu na mchu. Któregoś dnia, powróciwszy z nocnej wyprawy, zobaczyłem, że jeden z nich nie może wstać i leży bezwładnie. Gajowy nie zmienił mchu, od zaparzenia pękła mu na kolanku skóra i wychodziła naga kość. Był to śliczny samczyk, który już chodził ze mną na spacer do lasu. Wyrzucałem sobie, iż nie chciałem wierzyć, że tak jest trudno wychować małego żórawia. Lepiej byłoby zostawić je na rodzinnych mszarach. Postanowiłem jechać do felczera, który mieszkał o dwadzieścia pięć kilometrów wgłąb puszczy, w osadzie fabrycznej Platerowo. Zaraz też ruszyliśmy koniem ze starym gajowym. Przez puszczę prowadzi tylko jedna szeroka droga, zwana Kopanką, pamięta-

jąca jeszcze czasy, kiedy dobra te, jako starostwo, otrzymał Włoch, mąż królewskiej kochanki. Lubiano wówczas chrzcić siedziby dzikich pejzanów mitologicznemi nazwami, więc wieś, przez którą się przejeżdża, nosi nazwę Owidjuszowo, a polana z chatą, nazwana Romansówką, nasuwa obrazy sielanek pań w krynolinach. Droga była ciężka. Puszcza jakby zamarł w upale, nie poruszyło się igliwie, ani liść i wisiały ciężko na niebie obłoki, jak zatrzymane w locie stada ptaków. Taki był brak życia, że chciałoby się je popchnąć ręką. Po obu stronach drogi puszcza zachowała całą swą dziką pierwotność, nierzadko złamana gałąź zagradzała drogę, po grubych korzeniach furmanka trzęsła i podskakiwała niemiłosiernie tak, że musiałem trzymać na rękach kosz z biednym żórawiem.

Na zachód słońca dojechaliśmy do Platerowa. Udałem się do leśniczego, który powiedział mi, że felczer jest nieobecny. Postanowiłem więc zostawić żórawia aż do jego powrotu. Od leśniczego dowiedziałem się także, że chłopak, pasący krowy po puszczy, natknął się na wilcze gniazdo. Dziwnie jednak o tem opowiadał. Krowy porykując miały otoczyć miejsce, z którego rzucał się na nie wilk. Leśniczy był już tam, lecz nie znalazł nic, prócz jamy w wywrocie.

Opowiadanie to zaciekawiło mnie i postanowiłem sam się tam udać. Miała być to jednak cała wyprawa. Pierwszy etap był u gajowego, który siedział od Platerowa ze sześć kilometrów. Drogę przebyłem bardzo prędko, bo leśniczy dał mi swego rysaka, czarnego ogiera, który szedł, jak wiatr. Cudem uniknąłem przewrócenia się z bryczką na wystających korzeniach.

Kiedy przyjechałem do gajówki, była już północ. Niebo usiane gwiazdami miało na sobie jakby jasność zorzy. Biedny Macuk (takie było nazwisko gajowego), obudzony ze snu, przyjął mnie bardzo niechętnie. Uważał całą wyprawę za próżny trud i zapewniał, że nic nie odnajdziemy. Muszę przyznać, że upadłem na duchu, ale nie chciałem przerwać zaczętej wyprawy, szczególnie, że noc była oszałamiająco piękna. Dalej trzeba było iść piechotą. Z największym trudem brnęliśmy po kładkach, wyszukując je miejscami nogą w czarnem błocie. Zziajani, dobrnęliśmy nareszcie na miejsce. Niebo było już jasne, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Ogromny wywrot z głęboką jamą był dowodem, że pastuch nie kłamał. Zrobiliśmy z Macukiem krótką naradę. Wilki nie mogły być daleko. Zacząłem dopytywać go o pobliskie tereny. O kilometr miały się znajdować gęste młodniaki, woda i mech. Ruszyliśmy tam. Miejsce rzeczywiście było idealne. Ogromne, zmurszałe pnie sterczały w wysokich trawach, w których puścił się młody, gęsty brzeźniak. Teren był bagnisty. Poleciłem Macukowi, by szedł odemnie o sto kroków, wolno i dokładnie wszystko oglądając. Przeczucie mówiło mi, że niedaleko znajduje się zwierz. Zapuściliśmy się pojedyńczo w gąszcz. Miejscami trawa była jakby zdeptana, nogi zapadały się chwilami w bagno. Szedłem już ze dwadzieścia minut, posuwając się z trudem, gdy usłyszałem krzyk gajowego. Nie było to nawoływanie, gajowy wrzeszczał poprostu. Puściłem się do niego biegiem. Nie wiem jak przesadzałem ogromne kłody i uniknąłem zapadnięcia się w bagno. Kiedy dopadłem do niego, był blady i, wskazując ręką gąszcz, zdołał wykrztusić: „stary wilk się na mnie rzucał, o, proszę słuchać". Z gąszczu szedł groźny pomruk.

Nie mogłem nic zrozumieć. W głosie tym było tyle groźby i wściekłości, że zamarłem na miejscu. Po chwili dopiero posunąłem się trochę naprzód. Wśród liści zamajaczyła tuż przedemną głowa i pomruk stał się jeszcze bardziej wściekły. Strzeliłem w nią bez namysłu. Wszystko ucichło. Trzymając strzelbę w pogotowiu, zacząłem się posuwać naprzód. Odsłoniła się przedemną mała polanka i na niej zobaczyłem najpiękniejszy dla myśliwego widok. Na ogromnym, ściętym pniu siedziały dwa kociaki, jeden z nich na mój widok zaczął biegać i głową ze złości uderzał w pień. Puszcza odkryła przez chwilę tajemnice pierwotnego życia jednego z jej najrzadszych mieszkańców. Po chwili jednak ogarnęło mnie dziwne uczucie: gdzie jest rysica, jeżeli ranna, to może skoczyć na mnie i w tym gąszczu nie zdążę do niej strzelić. Wystawiłem bezwiednie strzelbę przed siebie i oglądałem się wokoło, gdy usłyszałem nagle głos Macuka:

„Jest, panie". Wskazywał mi miejsce, lecz wysokie trawy nie dawały nic widzieć. Zobaczyłem ją nareszcie, leżała martwa. Cudowne, podłużne oczy miały jeszcze blask niedawnego życia. Po raz pierwszy widziałem rysia. Z trudem zabraliśmy małe, drapały i gryzły, i śmiesznie ze złością prychały. Trzeba je było zawinąć w kurtkę. Powrotna droga wydała się bardzo krótką, słońce oświetlało puszczę, a z nią nasze dusze, upojone jeszcze niezwykłą przygodą.

*

Rysie zamieszkały razem z wilkami i spały w jednym koszu. Całe towarzystwo grzało się na piasku przed chatą i patrzałem godzinami na jego pocieszne zabawy. Na całe nieszczęście jednak dano mi znać z Platerowa, że żóraw zdechł. Nadszedł czas wyjazdu. Rysie musiałem oddać właścicielom puszczy i jeden z nich (drugi bowiem zdechł podobno) dostał się do Ogrodu Zoologicznego w Warszawie. Nie pamięta już puszczy i wspólnej naszej przygody.

JAN TYSZKIEWICZ.

Z POLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

ZJAZD DELEGATÓW POWIATOWYCH WOJEWÓDZTWA WARSZAWSKIEGO.

Polskie Towarzystwo Łowieckie, jako Oddział Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na m. st. Warszawę i województwo warszawskie, zwołuje na dzień 15 marca b. r. na godz. 10-tą rano, do lokalu swego przy ul. Nowy-Świat 35, zjazd powiatowych i stołecznych Delegatów P.Z.S.Ł.

Na zjeździe zostaną wygłoszone dwa referaty:

Redaktor Walenty Garczyński mówić będzie na temat: „Nowy ustrój organizacyjny Związku i rola delegatów";

Pan Jerzy Dylewski — na temat: „Walka z kłusownictwem i wnykarstwem".

Niewątpliwie na zjazd ten przybędą wszyscy Delegaci powiatowi i stołeczni P. Z. S. Ł. z województwa warszawskiego, których liczba wynosi obecnie 57-miu.

PĘDZONE KURY.

Wrześniowy, cudownie ciepły dzień przekroczył już był południe, gdy autobus, którym zdążałem od Włocławka ku Lubrańcowi, siedzibie p. Stanisława Grodzickiego, zbliżać się zaczął ku dotykającemu do szosy parkowi pałacowemu.

Rzuciłem okiem na pola majątkowe, ciągnące się w prawo od szosy i zdaleka już ujrzałem ponad brzegiem głębokiego parowu linję myśliwych, rozstawiających się na skraju szerokiego szmata ziemniaków, który nieskończonym pasem uciekał hen w dal, aż poza wzgórze.

Kazałem zatrzymać autobus oraz zdjąć moje walizki i po wyskoczeniu na szosę, z lubością wyprostowałem członki pod grzejącemi promieniami słońca.

Z pośród grupy ekwipażów, stojących opodal na wzgórku, oddzieliła się lekka, zgrabna bryczka i szparkim kłusem zaczęła się zbliżać ku mnie. Był to stary, długoletni stangret pp. Grodzickich, Albin, który zdaleka dostrzegł mnie i poznał.



Grupa kujawskich „brzytew" na kury.

Podałem mu walizki, wskoczyłem na bryczkę i pomknęliśmy ku linji stanowisk. Po drodze Albin zakomunikował mi, że dotychczasowy rezultat przepędzonych miotów jest dosyć nikły, zajmowano bowiem wyłącznie podorywki, gdzie kur stosunkowo okazało się mało. Właściwe polowanie zaczynało się na dobre dopiero teraz, pędzenia bowiem będą wypadały już tylko wyłącznie w polach z okopowemi, obejmując zarazem ścierniska z podsianą koniczyną.

Nim dotarliśmy na miejsce, zataczając dalekie koło dla ominięcia parowu, nad którym stanął sznur myśliwych, poczęły już ciągnąć pierwsze kury, nadlatując z za wzgórza i odezwały się rzadkie, początkowe strzały.

Zrezygnowałem z zajęcia stanowiska w tym miocie tembardziej, że wszystkie miejsca włącznie z „klamrami" zostały obsadzone i trzebaby było posuwać całą linję, albo też wyjść na klamrę znacznie naprzód, stanąłem więc z bryczką na wzgórku, zdala na boku i zacząłem się przyglądać, trzymając gotową do strzału dubeltówkę w ręku na wypadek, gdyby jaka kura miała zamiar zabłąkać się w moją stronę.

Punkt obserwacyjny miałem doskonały. W lewo ciągnęło się kartoflisko, znikając za wzgórzem, w prawo miałem przed sobą linję myśliwych ponad owym rozdołem.

Kury zaczynają lecieć coraz gęściej, to pojedyńczo, to grupami po kilka sztuk, to całemi płachtami po sztuk kilkadziesiąt. Grzechot strzałów staje się gęstszy, chwilami zlewając się w ogłuszającą kanonadę.

Widok jest bajeczny, bo kury, lecące z poza wzgórza, płyną nad rozdołem wysoko, a strzały są na daleką metę i niemal pionowe.

„Psiakość, naumieli się kujawiacy strzelać do pędzonych kur" — wyrywa mi się mimowoli półgłosem z ust uwaga na widok, jak z większej, lecącej nad rozdołem płachty kur zaczynają sypać się w dół, jak groch, ptaki, jakgdyby je tam zgóry strącała jakaś niewidzialna ręka.

W tej chwili nad uchem słyszę krzyk Albina: „Kury, jaśnie panie!". Było oczywiście zapóźno, śmignęło mi bowiem tylko nad głową kilka ptaków, błysnąwszy podkowami rdzawego upierzenia na piersiach, a nim zdążyłem się zerwać i złożyć, kury już wyszły ze strzału.

Z poza wzgórza tymczasem poczęły się ukazywać pierwsze barwne chorągiewki prawego skrzydła naganki. Ludzie jeszcze są niewidzialni, bo chorągiewki osadzone są na długich tyczkach. Kury nadlatują pojedyńczo, ale po chwili zbliża się znów długa, rozciągnięta płachta z kilkudziesięciu sztuk i płynie ponad rozdół.

Widzę, jak dwie kury, złamane w locie, walą się w dół, a w powietrzu po nich wirują dwie chmurki pierza. Dolatuje mnie też natychmiast głębokim basem dublet Purdeya p. Zdzisława Kiwerskiego, walącego „superlongami" na kolosalną metę. I znów zaraz spadają dwie kury, a rezonans drugiego dubleta idzie po parowie.

Nieco bliżej stojący odemnie p. Cezary Bacciarelli zrzyna w tymże czasie kilka kur pod rząd jedną za drugą w błyskawicznem tempie. Z dalszych stanowisk grzmią również strzały, wytrącając z płachty kilkanaście ptaków. Reszta ocalałego stada salwuje się poza szosę w szeroki szlak buraków, w którym przypada miot następny.

W pewnej chwili zwracam się na lewo, stojąc w bryczce dla lepszego widoku i spostrzegam, iż kilka kur idzie prosto na mnie. Strzelam do dwóch najbliższych, pierwszą ścinam na sztych i omal nie walę się na ziemię z bryczki przy drugim spudłowanym oczywiście strzale, bo pomimo, że doświadczony stary Albin zebrał krótko konie na lejcach, szarpnęły jednak potężnie po pierwszym moim strzale, a ja jakoś wprost cudem nie wywinąłem kozła.

Linja naganki wychyliła się w tej chwili z za wzgórza i dochodzi coraz bliżej. Rwą się jeszcze z pod nóg jej pojedyńcze kury, które „ciekły" na piechotę brózdami, padają ostatnie strzały i miot się kończy.

Zeskakuję z bryczki, podchodzę do grupki myśliwych, witam się z gospodarzem polowania i jego braćmi, ściskam dłonie znajowych i poznaję się z resztą towarzystwa.

Gospodarz ogłasza, iż następny miot wypada za szosą, na której mamy się rozstawić.

Dostałem tu mniej więcej środkowe stanowisko, kury jednak szły przeważnie na prawe skrzydło, gdzie głównie pracowały Purdeye obu braci Kiwerskich.

Krótka zbiórka przy pokocie i ruszamy z powrotem poza szosę wgłąb pól, miot bowiem wypada od granicy majątku Radecz Wielki i zapowiada się w nim duża ilość kur.

Stanowisko mi wypada ostatnie na lewem skrzydle na wzgórku. Po prawej ręce mam za sąsiada hr. Kwileckiego z Kwilcza. Dalsze strzelby stoją już poza słynną remizą sosnową, pod którą przed kilku laty obecny wówczas w Lubrańcu na polowaniu ordynat Maurycy hr. Zamoyski dokazywał istnych cudów mistrzowskiego strzelania.

Przypomniałem to sobie właśnie, stojąc na tym samym wzgórku, co i wtedy, i mimowoli, gdym myślał o tem, że mam dopiero 4 kury na rozkładzie, przyszedł mi na myśl wiersz z „Pana Tadeusza" —

— „Konewka małe dotąd męstwa dał dowody"...

Istotnie — dotychczas jakoś mi nie szło, ale liczyłem, że ten miot będzie lepszy, tembardziej, że, chociaż stałem na skrzydle, pozycję miałem wymarzoną.

Przedemną ciągnęły się dwa krótkie poletka

marchwi i buraków, na lewo i na prawo było dość gołe ściernisko, z tyłu za mną rozpoczynał się długi pas ziemniaków. Widziałem przytem ze swego wzgórka, jak na dłoni, cały miot i, sądząc z konfiguracji terenu, byłem przekonany, że kury będą iść na remizę i na nasze skrajne stanowiska — ciągnąć będą bowiem do szlaku ziemniaków, znajdującego się poza nami.

Przewidywania moje okazały się słuszne, bo już po chwili dostrzegłem pierwsze stado, które szło w moją stronę od widnej zdala linji naganiaczy. Wyczekałem cierpliwie i w momencie, gdy stado nadlatywało na mnie i na sąsiada z prawej strony, odrobiłem 2 kury czysto. Złamać strzelbę, aby eżektory wyrzuciły puste łuski, celem założenia nowych ładunków, było dziełem sekundy i gdy nadlatywała nowa płachta, sięgnąłem jedną kurę na wysoki kulawy sztych, a drugą szarpnąłem dalekim bardzo strzałem do boku.

Kura zamarkowała po strzale opuszczeniem nogi i, wykręciwszy wbok, spadła o jakieś staje w polu obok ekwipażów, gdzie podnieśli ją stangreci.

Pod remizą rozpoczęła się wkrótce niesamowita kanonada.

Urwałem w tym miocie jeszcze 4 kury, a w następnym miałem wyjątkową satysfakcję, gdy mistrzowi Zdzisławowi Kiwerskiemu w momencie, gdy się już składał, złapałem przed nosem wysoko idącą kurę ukośnym strzałem z rzutu.

Jeszcze kilka miotów, mniej lub więcej obfitujących w strzały i emocje — zaczyna się zmierzchać i ruszamy ku pałacowi.

Wkrótce gwarne towarzystwo myśliwych zebrało się za stołem biesiadnym, a po kilku kieliszkach wódki i zaspokojeniu głodu, humory poprawiły się setnie i zaczęły się sypać dowcipy i anegdoty, mniej lub więcej pieprzne, jako że towarzystwo było wyłącznie męskie.

Gdy zaperliło się w puharach wino, gospodarz p. Stanisław Grodzicki powstał, aby odczytać rezultat polowania, z którego okazało się, że właściwie w pół dnia zabito około 460 kur, a pierwszeństwo przypada p. Zdzisławowi Kiwerskiemu z Izabeli, który ma na rozkładzie bezmała 80 kur.

Oczywiście pijemy zdrowie tryumfatora, a po tym toaście sypie się jeszcze kilka innych, okolicznościowych.

Po skończonej biesiadzie myśliwskiej znaleźliśmy się na piętrze, w ślicznej marmurowej sali pałacu lubranieckiego, gdzie tyle już miłych chwil spędziłem w latach poprzednich. Zasiedliśmy oczywiście do kilku stolików bridge'a, który trwał dosyć długo.

Późna już była godzina, gdy wespół z p. Włodzimierzem Grodzickim jechaliśmy do jego pięknych Morzyc, gdzie na trzeci dzień miało być polowanie z naganką na kury.

Noc była wprawdzie dość chłodna, ale cudownie pogodna i jasna. Droga była dobra i równa, toteż dwa siwe araby rzeźbiły wyciągniętego kłusa, a krajobraz ślicznych Kujaw w poświacie księżycowej, zmieniając się co chwila, ukazywał nam to tajemnicze, drzemiące w obramowaniu trzcin i szuwarów jeziorka i jeziora, w których przeglądał się miesiąc i gwiazdy, to znów ciemnię mijanych zagajów i zarośli, to wreszcie dalekie wzgórza, zalane srebrnym blaskiem miesięcznym.

Dzień następny zeszedł mi na oglądaniu gospodarstwa w Morzycach, które stanowią na Kujawach jeden z przodujących warsztatów rolnych pod względem organizacji i techniki oraz wydajności produkcji.

Dzień ten przeleciał nam szybko i stosunkowo wcześnie udaliśmy się na spoczynek, aby być „w formie" na jutrzejszy wczesny ranek.

Ten ranek okazał się poprostu jak z bajki. Było tak ciepło, jak w lecie, słoneczko przygrzewało przyjemnie, łagodny wietrzyk szemrał lekko wśród drzew parkowych, a w powietrzu unosiły się cienkie nici „babiego lata", srebrząc świeżo zorane role i czepiając się drzew.

Bractwo z pod znaku św. Huberta zjechało się bez dużego opóźnienia, już więc przed 9 godz. rano znaleźliśmy się w polu, zaczynając miot od granicy historycznych Płowiec.

Kur w Morzycach było jeszcze więcej, niż w Lubrańcu, ale tak sprytnie i chytrze wynosiły się one całemi ogromnemi płachtami po kilkadziesiąt sztuk, albo ponad naganką, albo też na boki, że w wielu miotach strzelały głównie krańcowe na linji myśliwych stanowiska.

W południe odwiedziły nas panie, małżonka gospodarza p. Irena z Doria-Dernałowiczów Grodzicka wraz z matką i przywiozły nam śniadanie.

Krótka przerwa, kilka zdjęć fotograficznych, dokonanych przez panią domu, a potem parę kieliszków wódki na „trupowego" i dla kurażu.

Po śniadaniu pozostały panie przez pewien czas, aby przypatrzeć się polowaniu. W trakcie jednego z miotów łapie mnie na objektyw swego aparatu fotograficznego p. Włodzimierz i zdejmuje mnie z profilu w całej okazałości mej circumferencji, tembardziej zaokrąglonej, że zamiast kurtki, miałem na sobie kamizelkę myśliwską z rękawami.



Autor na stanowisku.

Pod wieczór rozprawiliśmy się na serjo z kurami w ostatnim miocie, koło słynnego kurhanu przedhistorycznego, na łąkach pod parkiem.

W rezultacie kur padło ponad 300, a prymat zdobył p. Włodzimierz Kiwerski ze Szczepic, mając na rozkładzie około 60 kur. Straszne to „rzeźniki", ci obaj bracia Kiwerscy.

Szybki powrót do domu, przebieranie się w wieczorowe szatki, poczem zgromadziliśmy się wszyscy w obszernej jadalni, przy gustownie umajonym kwieciem stole.

I znów oczywiście poczęły się sypać toasty, a jednym z ostatnich był wzniesiony przez niżej podpisanego i spełniony w rączki pani domu toast na cześć najmłodszego z braci z pod znaku św. Huberta, pięcioletniego Bronisia, synka gospodarstwa, który cały dzień był z nami na polowaniu, święcie będąc przekonany, że przyjmuje w niem najczynniejszy udział.

Czemże mam zakończyć ten opis polowania na pędzone kury? A no chyba aforyzmem, że największą wadą każdej rozrywki myśliwskiej jest to, że się prędko kończy.

To właśnie myślałem sobie, gdy siwe araby wiozły mnie ku skrzyżowaniu szos, gdzie przesiadłem się na autobus, idący do Włocławka, aby koleją wrócić do stolicy i zanurzyć się znów w jej codziennym wirze i zgiełku życia.

ST. P. W.

MĄDRY ZWIERZ.

Rozkoszując się czytaniem pracy p. Wacława Podhorskiego („Myślistwo wschodnie"), zaiste do „jądra gęstwiny" wypracowanej wspaniale na tle głębokiej fachowości, powiem więcej — psychicznej znajomości wszelkich arkanów trudnej sztuki polowania na wilki — nie mogę nie podzielić się z łaskawymi czytelnikami niektóremi osobistemi przedpółwiekowemi wspomnieniami z tej dziedziny.

Tembardziej, że owe moje fragmenty z życia lupusów — najzupełniej potwierdzają całą rzeczowość tez, zawartych w artykule p. Podhorskiego.

A niewiele już pozostało na świecie myśliwców, którzy pamiętają owe wilcze obławy bądź to z naganką, bądź z aparatem sieci — na dzikich polach Ukrainy, Wołynia i Podola.



Pani Anna Sołtanowa z ubitemi przez siebie wilkami (3-cim i 4-tym) w Jaszunach na Wileńszczyźnie.

Odejdą w zaświaty ostatni Mohikanie, którzy pamiętają owe wilcze gody i... zczezną na wieki naoczni świadkowie owych senatorskich reminiscencyj. A szkoda będzie całego tego swoistego folkloru.

Bo istotnie wilk, jako trofeum, musi wzbudzać ów pewien sentyment, owe nastroje *sui generis*, które aż tryskają z wyżej wspomnianego odcinka mającej się ukazać w druku książki tego autora p. t. „Organizacja łowiectwa na Kresach".

Oczekujemy z niecierpliwością...

Wilk i polowanie na niego mało są znane przez szeroki ogół sług św. Huberta. Pochodzi to z tej przyczyny, że z pięćdziesiąt lat wstecz znikoma tylko ilość zwierza tego gatunku zasiedlała poleskie knieje. Dopiero po wojnie europejskiej wyparty przez „zawieruchę" bolszewicką z przełęczy Karpat, zacisznych swych przytulisk południa byłej Rosji — gremjalnie „osiadł na emigracji" w miłych sercu rojstach dawnej ziemi mińskiej.

Powtóre w zamierzchłych tych czasach ojcowie nasi, mając wbród łosi, rysi, ba! — niedźwiedzi i bobrów nawet, mało się interesowali daleko skromniejszemi wilczkami. Oprócz tego Polesie jeszcze nie zasługiwało na miano „polesia".

Było gdzie i poco się fatygować...

A notabene — niełatwem było na obszarach puszcz ówczesnych polować, a nawet spotkać się ze skromnym „szarym przyjacielem".

Natomiast kilkusetmorgowe dąbrowy na żyznej ziemi ukraińskiej, zapadłe, mokre jary, lasem i sitowiem zarosłe, były pewnem dla nich schronieniem.

W podobnej dębinie, czy wilgotnych olszynkach, czasy bodaj Jaremy Wiśniowieckiego pamiętających, lęgło się ich po kilka gniazd nieraz.

Dlatego też około Matki Boskiej Gromnicznej wielka ilość „wowków", gromadzących się w stada po 20 — 30 sztuk, umożliwiała podówczas wyjazdy z kwiczącym prosiakiem w mroźne, rozgwiażdżone, czy poświatą księżyca posrebrzane noce, lub czaty przy padlinie.

Miało to też miejsce na Litwie i Białej Rusi, chociaż lesistość terenów i ogrom kompleksów nietyle nadawały się do takich polowań.

Ojczyzna Mohorta i kurhanów — oto był wymarzony teren dla łowów tego rodzaju, jakoteż do szczucia wilków chartami, „zestruniania" ich żywcem — z pod psów! Było gdzie pohulać duszy kresowej. I hulało się „na cały regulator". Na skutek tych topograficznych warunków duża ilość myśliwych na kilkuset hektarowych leśnych ostrówkach mogła onczas praktykować dziś nie do pomyślenia w zastosowaniu łowy, nie ze względnie taniemi fladrami, lecz ze znacznie droższemi sieciami.

Słynni ówcześni myśliwi, jak ś. p. Abramowicz w Leszczyńcach i Wołodarce, Mazarakowie, Antoni Zapolski i inni na Ukrainie posiadali całe kilometry owych sieci wilczych. Dziś przedstawiałoby to całą fortunę bynajmniej nie kryzysowego zakroju.

Technika łowów polegała na tem, że, kiedy wilczęta, wyrosłe na danem ostrowiu, trzymały się jeszcze „kupy" w rejonie lęgowym, a rodzice po swych dalszych ekskursjach o charakterze aprowizacyjnym powracali w swe zaciszne pielesze, specjaliści-wabiarze, tak zwani podwywacze wilków, przez dni kilka urządzali swe piekielne koncerty na tle wilczych symfonicznych melodyj. Oprócz tego podrzucano suto padlinę na polach i drogach, przylegających do dziennych legowisk.

Nie pasano naogół bydła. Nie przepuszczano furmanek z „hadami" do lasu w ciągu całego lata! Mowy nie było o bukolicznych zbiorach grzybów, czy jagód. Nieraz jako ekwiwalent prawnych wypasów odstępowano diad'kom (włościanom) daleko cenniejsze, na uboczu wilczem leżące obszary, albo okupywano się kilkasetrublowym haraczem od praw gromady wiejskiej.

W takich warunkach nietylko miejscowe „lupusy", lecz spora ilość obcych osobników koncentrowała się w danym ostrowiu.

W wigilję łowów na kilkudziesięciu furmankach podwożono sieci. Po należytem podwyciu przez mistrza tej sztuki, Kindrata, Maksyma, lub innego Tarasa, po skonstatowaniu obecności znacznej ilości rabusiów w lesie, obrzucano trzy strony sieciami, pozostawiając wolną linję strzelców. Czasami nawet zamykano zwierza szczelnie na niewielkich ostrówkach.

Łatwo sobie wyobrazić bezmiar „delicyj" łowiecko-strzeleckich zaproszonych uczestników. Walono też bez pardonu! Postrzałki, lub oszalałe z trwogi sztuki, zaplątane w czyhające na nie sieci, dobijało się kijami zawsze skorych do tych manipulacyj faworytów Kazimierza Wielkiego.

Rzadko, bardzo rzadko temu lub innemu sfuszerowanemu wilczkowi udawało się przerwać linję,

salwować puszystą skórę i... umknąć, gdzie pieprz rośnie.

Atoli dawnego autoramentu myśliwi zadziwiająco rzadko pudłowali ze swych dziwerówek, pistonówek, skałkówek bodaj, nie mówiąc już o wytworach Iwasia z Bałabanówki o znamiennym napisie: „sy git, sy bon — sy Galas de London". Dzielne to było pokolenie, skore do bitki, wypitki, do tańca i... różańca. A do strzelby tembardziej!

Wyśmienicie przydał się ten pociąg w pamiętnym roku 1863. Niejeden dziarski „jäger" carski, jak zając zrulowany sprawnie — został.

Pamiętam w roku 1876, w naszem obfitującem w wilki uroczysku sześciuset ha na Żarkach (pozostałość po 2000 ha leśnego masywu) zimą poprzedniego roku szkód było niemało. Wilczki „poszaliwali" (pożartowywały sobie. Piękne żarty, niema co mówić!).

Mentor mój łowiecki i przyjaciel całej rodziny, sławetny Bronio Dymnicz, zwalił kilka sztuk na padlinie, podczas czatów. Lecz wszystko to stanowiło li tylko marne paljatywy.

Otóż po szeregu rzetelnie odbytych konferencyj najtęższych głów „matadorów" w tej sprawie postanowiono jesienią tegoż roku zapolować na wilki na Żarkach — z sieciami...

Miałem osiem lat natenczas i póki żyję, nie zapomnę, kiedy to ś. p. rodzice moi i ja wyszliśmy obejrzeć rozkład przy blasku smolistych kagańców na balkonie pałacu wierzchowieńskiego rozłożony przed gośćmi.

Padło wówczas 12 sztuk, wyrwało się z matni 8 czy 10 postrzałków, parę umknęło sfuszerowanych naczysto. Śród zdobytych — fenomenalnych rozmiarów stara wilczyca!

Sędziwą Matuzalową, lekko ranną przez czcigodnego sąsiada, p. Franciszka Potockiego z Turlijówki, ostatni usiłował zakneblować żywcem i zameldować na rozkładzie. Rzucił się raptownie ów potwór na dzielnego myśliwca! Jedynie błyskawiczne wpakowanie luf dubeltówki w paszczę powstrzymało bestję... Borykał się nasz sąsiad z rozwydrzoną waderą aż do sukursu diad'ków, którzy kijami dotłukli groźnego „wowka"!... Na kilku polowaniach przedtem — prawda, bez sieci — z huczkami, albo z przecięciem siecią li tylko pewnych przesmyków, padało zwykle 3 — 4 wilki.

Po tej hekatombie — nawiązując do uwag p. Podhorskiego w tym kierunku — stwierdzić trzeba, że skutki okazały się żałosne. Albowiem najlepszy ostęp wilczy wpadł w ich „abominację" i... gniazd od tego czasu był w niem absolutny „vacat".

To samo stało się po historycznych tych łowach na Żarkach w Wierzchowni. Wilki nietylko w naszych lasach i zarosłych, stepowych jarach zanikły, ale nawet bardzo już rzadko ukazywały się w masywach lasów, ulubionych przez nie w całym powiecie.

W 2000 ha Różyna, 3000 ha Wołodarki 1500 ha Płoskiej, prawie że na lekarstwo znaleźć ich nie było można. Tylko w Chodorkowie pp. Lewandowskich, zawdzięczając sąsiedztwu z Polesiem Kijowskiem, zdarzało się upolować (zawsze z sieciami) trzy, cztery okazy. Ja osobiście, tłukąc się ze strzelbą na ramieniu po całym powiecie, raz tylko widziałem z Broniem dwa wilki podczas wiosennych przelotów kaczek.

Ścigaliśmy je bryczką, paląc zawzięcie numerem 6-tym w ślad truchtem, a później wskok umykających. Innym razem w tychże Żarkach wyłonił się na moje stanowisko podczas polowania na lisy i szaraki przepiękny wilczur. Myśląc, że to pies-kundys, mając go literalnie na 10 kroków — nie strzeliłem nawet.

Co za konfuzja! Ileż kpin, żartów poniewczasie...

Krótko mówiąc, mądry ten zwierz wyniósł się z kretesem po owym rozgromie jego rodu.

Natomiast na granicznem Podolu, na Wołyniu w powiatach południowych, jak Kaniów, Humań, Czehryń było wilków zatrzęsienie aż do wojny światowej! Tam też zdobyłem niejeden złom wilczy.

Zupełnie też zgadzam się z p. Podhorskim w tem, że poniekąd, jeśli ryś ma swój czas ochronny, daleko będąc większym od wilka szkodnikiem, ten ostatni zasługuje również na pewne względy!

Dzika, łosia, nawet żubra osiedlić można i rozmnożyć, co do wilka manipulacja ta daleko jest trudniejsza — nie tak gładko pójdzie.

Przejaskrawione opowiadanie prasy brukowej o ułanach, „pożartych" przez wilki aż do ostróg (no i do szabel chyba), o stadach krów i owieczek, do nogi wyrzniętych — do bajek laików zaliczyć należy.

Owszem, przy zbytnich etatach wilki mogą być i są szkodliwe, ale proces wytępienia żelazem, trutkami dla „króla przyrody" zawsze jest dostępny. Trudniejszy daleko — metodą prawidłowych polowań. A takie tylko interesować mogą prawidłowego myśliwca — a nie futrzarza, czy hodowcy bydła.



Z Poleskiego T-wa Myśl. Na błotach Puszczy Wiadotupickiej.
Fot. J. hr. Dunin-Karwicki.

A ileż to świeżego sentymentu ze wspomnień dzieciństwa każdego z nas mieści w sobie ów „*loup garrou*" z opowiadań niani staruszki — przy kominku dogasającym! Naracje o wilkołakach, zaczarowanych „lupusach" z bajek i opowieści starożytnych... W każdej duszy myśliwskiej drzemie poniekąd w pewnych godzinach potrzeba nastrojów maleńkiego kopciuszka.

Gwoli tej mentalności, we Francji, w której poza menażerjami, wilki zachowały się pojedyńczo w Ardenach, czy innych Alpach — istnieje dotąd szarża i godność wielce cenionych „*lieutenants de louveterie*".

Regulujmy więc liczebność wilków, lecz nie dopuśćmy do parafrazowania w ponurej redakcji przysłowia „Homo lupi — lupus est". Niech pozostanie to smutną „prerogatywą" dla rodu ludzkiego.

Mamy coprawda do czynienia z wielce mądrym zwierzem, ale skazanym, niestety, żelaznem prawem zmieniających się warunków na pewną zagładę w przyszłości!!!

W miarę możności prolongujmy ten termin, fatalny dla samych wilków, w większym jeszcze stopniu dla dusz myśliwskich. Naturalnie o tyle, o ile będziemy mogli jeszcze mieć w swojem posiadaniu łowiska, na uboczu leżące, dzikie, pierwotne, nie o ściśle zarejestrowanych zwierzostanach. Przy racjonalnej, tembardziej „klinicznej" hodowli wilk jest niedopuszczalny — według mego zdania.

Bądź co bądź — wilczków będzie szkoda i to wielka, mądry to zwierz, a strzał do niego „grzeczny" bardzo!

ADAM RZEWUSKI.

WIDMO ZAGŁADY KOZICY I ŚWISTAKA.

Zgrzytają stalowe liny. Jęczą żałośnie a ponuro podmuchy wiatru wśród przerzedzonych i pokaleczonych lasów na zboczach Kasprowego Wierchu. Roznoszą podmuchy wiatru wieść złowrogą po całych Tatrach. Jak widmo upiorne majaczy obraz przyszłych — odartych z pierwotnego piękna Tatr — nad szczytami dotychczas wolnemi od więzów kultury i techniki, nad przełęczami, turniami i stokami, na których wznosi się jeszcze las nietknięty, przyszłych losów nieświadomy! Nie przeczuwają nieliczne, swobodnie bytujące kozice, iż czarna zagłada zawisła nad niemi. Minęły już czasy, gdy wielkie kierdele wędrowały po szczytach tatrzańskich, nie bojąc się ani kłusownika - polowaca, ani wrogów naturalnych. Resztki tych pięknych, zgrabnych, zespolonych w całość harmonijną z krajobrazem zwierząt, wzięto pod opiekę wraz ze świstakiem — czujnym strażnikiem gór, donośnem gwizdaniem zwiastującym niebezpieczeństwo. W kamiennym śnie zimowym pogrążone, ukryte w norach głębokich, nie słyszą świstaki ani wybuchów, wysadzających, rozkruszających podwaliny ich wielkiego domostwa, szarpiących serca gór polskich — Tatr, ani zgrzytania lin, ani huku pni, walących się pod siekierą zdobywcy — człowieka... Płochliwa kozica — wystraszona zgiełkiem piekielnym — wtulona w zaciszną szczelinę skalną, nie przeczuwa przyszłych klęsk, widzi tylko i słyszy jedynie to, co się w chwili obecnej dzieje... Nie wie ona, że przyjaciele jej dążą do jak najrychlejszego prawnego utworzenia spokojnej ostoi dla wszelkiego zwierza— Narodowego Parku Tatrzańskiego. Dla niej Tatry oddawna już są jedyną w Polsce ojczyzną, o którą jeno sama walczyć nie umie! Współbytujący z kozicą świstak, gdy ze snu na wiosnę się zbudzi, nie pozna, być może, cichej okolicy swej, ukrytej wśród skał wioski.

Nad zboczem, gdzie tylko orły dotychczas szybowały i krążyły, ofiary wypatrując, po którem przewijały się smukłe kozice — po linach-wężach stalowych popełzną na szczyt tajemnicze pudła, mrowiem ludzkiem brzemienne, mrowiem, co dokoła zgiełkliwą falą się rozpłynie... Tam, gdzie jeno wiatry halne wolną piersią oddychały — rumorem, muzyką szynkową, bluźnierczą zachichoczą knajpy, hotele... Dzikie, wzburzone echo górskie poniesie i, powtarzając wielokrotnie, porozrzuca, jak tanie ulotki, po lasach, halach, szczytach i przepaściach, dumne i zarazem wyszydzające odwieczne piękno Tatr okrzyki zdobywcy człowieka!

Spłoszone hałasem, wystraszone ustawicznym ruchem — wyniosą się chyłkiem kozice - niedobitki do stron pozornie spokojniejszych, gdzie padną wcześniej lub później ofiarą podstępnego kłusownika. Wyginą również kolonje świstacze, wyparte przez wścibskiego, zachłannego człowieka, wydzierającego bezbronnym pustelnikom ostatni skrawek ziemi.

A więc każdy miłośnik Tatr, prawdziwych, pierwotnych Tatr z ich fauną swoistą, powinien głos swój dołączyć do chóru zgodnego — wołającego:

Piękno wieczyste Tatr ocali przed zagładą i wypaczeniem stworzenie Tatrzańskiego Parku Narodowego!

Inż. WŁODZIMIERZ LINDEMAN.

NIECO O ŻÓŁTYM ŁUBINIE OŻAROWSKIM, PASTEWNYM, NIEGORZKIM.

Będąc od lat dwudziestu zamiłowanym hodowcą naszej ukochanej zwierzyny, śledzę z zainteresowaniem wszystkie te objawy, które dążą do rozmnożenia jej stanu. W pierwszym rzędzie odnosi się to do karmy naturalnej, dającej tę gwarancję, że zwierzyna za pożywieniem nie potrzebuje wekslować na przylegające pola, gdzie masami ginie z rąk pseudo-myśliwych, kłusowników i sidlarzy. Jestem od lat wielu stałym gościem państwa Meske z Ożarowa (koło Wielunia), gdzie w panu Konradzie znalazłem człowieka podobnych zamiłowań i dążeń, co i ja. Od lat wielu p. Konrad zajmuje się hodowlą łubinu pastewnego niegorzkiego (żółtego) i dopiero w 1934 r. wyprodukował tego nasienia tyle, aby módz zasiać w polu ½ ha tej pastewnej rośliny. Gdym był u niego w miesiącu maju, zwrócił mi uwagę na poletko łubinowe, gdzie stale, nawet w biały dzień, pasło się 8 — 10 zajęcy, a po bliższem zbadaniu, znalazłem również mnóstwo śladów sarnich na tem poletku. Obawiając się, że zwierzyna zniszczy mu całą tę kulturę i przyszłość jego kilkoletnich zabiegów, postawił budę, do której na długim łańcuchu przywiązał psa podwórzowego. Nie pomogły jego zabiegi — zające dalej przychodziły w coraz to większej ilości, tak że koniec końcem, musiał postawić stróża. W roku następnym już była zasiana przestrzeń około 8 ha. Z powodu większej przestrzeni, szkody od drobnej zwierzyny były z początku wegetacji mniejsze, lecz co się okazało: jak tylko łubin zawiązał strączki, wszystka zwierzyna racicowa (jelenie i sarny) w poważnej ilości odwiedzała te pola i po śladach, jakie zauważyłem, znalazła w tej roślinie to, co jej najwięcej dogadzało. Zainteresowany tą sprawą, zacząłem próbować liście i strączki i po tej próbie jestem przekonany, że łubin żółty pastewny, niegorzki, jest najlepszą paszą naturalną dla naszej zwierzyny. Liście są zupełnie niegorzkie, zaś strączki i ziarno młode mają smak grochu jadalnego, nic więc dziwnego, że zwierzyna tak chętnie go spożywa.

Jeżeli też weźmiemy pod uwagę, że łubin ten jest mniej wymagający co do gleby, niż inne motylkowe rośliny, muszę uznać tę roślinę za najwięcej nadającą się na wszelkie poletka, urządzane wśród lasu.

Mając do dyspozycji analizę Wielkopolskiej Izby Rolniczej z dn. 30.I.1936 r., podpisaną przez d-ra Celikowskiego, wykazującą alkaloidów (met. Mach.-Lederfelda) 0,071%, białka surowego 34,79%, tłuszczu 3,91%, jak również list Państwowego Instytutu Nauk Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach z dnia 6 lutego 1936 r., w którym powiedziano, że łubin nadesłany zawiera 0,26% alkaloidów (oznaczonych metodą Sabalitschka-Zaher), że tą samą metodą robione analizy łubinu żółtego słodkiego znanej hodowli niemieckiej (Kaiser Wilhelm Institut w Muenchenbergu) dały wynik 0,3%, zdaniem D-ra Z. Wierzchowskiego należy uznać łubin hodowli pana K. Meske za z u p e ł n i e s ł o d k i. — Śmiem twierdzić, że łubin Ożarowski jest nietylko rośliną znakomitą dla wszelkiej zwierzyny, lecz również doskonałą paszą dla inwentarza gospodarczego, począwszy od konia, a skończywszy na trzodzie chlewnej.

ALEKSANDER KNOTHE.

WYSZUKIWANIE TOKÓW GŁUSZCOWYCH.

W artykule niniejszym mam zamiar podzielić się z czytelnikami „Łowca Polskiego" spostrzeżeniami swemi, dotyczącemi wyszukiwania toków głuszcowych. Ma ono miejsce tylko w takich okolicach, gdzie są duże obszary błot i lasów, gdyż tu zdarza się, że głuszce zmieniają tokowiska, a także, że tworzą się nowe toki, które trzeba odszukać.

Z reguły głuszce zmieniają tokowisko, gdy został na niem wyrąbany las, lecz zdarza się, że przenoszą się na inne miejsce bez żadnych widocznych powodów.

Widziałem raz w swej praktyce myśliwskiej taki przykład zmiany tokowiska. Było to w brasławskim powiecie w roku 1927. Polowałem tam wówczas na Nowo - Jelniańskich mszarach, należących do p. M. Ch. Wybrałem się z przewodnikiem, Wańką Kołosowem, doświadczonym myśliwym, na pewien tok głuszcowy, odległy od chaty jego o sześć kilometrów fatalnej pieszej drogi i znajdujący się prawie że na samym brzegu Nowo - Jelniańskiego jeziora. Po rozłożeniu obozowiska udaliśmy się na podsłuchy. Jakież było zdumienie mego przewodnika, gdy przy sprzyjającej pogodzie nie zapadł ani jeden głuszec.

Zbeształem go porządnie i chciałem wracać do domu, lecz Wańka wyperswadował mi, że nocą w takiem bagnie możemy się utopić, oraz że opodal tokuje sporo cietrzewi, będziemy więc mogli zrana na nie zapolować. Zostaliśmy.

Nazajutrz wyruszyliśmy na owe cietrzewie.

Przeszliśmy dobre półtora kilometra brzegiem jeziora, a chociaż tokowało ich sporo, ani jednego nie zabiłem.

Rozgoryczony niepowodzeniem postanowiłem wracać do domu, choć godzina była wczesna i słońce jeszcze nie wzeszło. Skręciliśmy pod prostym kątem od brzegu jeziora i zagłębiliśmy się w las. Przeszliśmy w tym kierunku jakieś pół kilometra, gdy raptem usłyszałem pieśń głuszca.

Wańka, który był trochę głuchy, nie chciał mi wierzyć, twierdząc, że w tem miejscu nigdy toku głuszcowego nie było. Gdyśmy jednak, idąc w pieśń, zbliżyli się do głuszca i on go posłyszał.

Zostawiwszy Wańkę, podszedłem do ptaka i zabiłem go. Będąc jednak w wysokim stopniu zaintrygowany niezwykłem zjawiskiem, którego byłem świadkiem, chociaż był już zupełny dzień, udałem się w tym kierunku i niebawem spłoszyłem jeszcze jednego, a po nim jeszcze cztery koguty, będące już na ziemi.

Cóż się okazało? Oto głuszce z zupełnie niezrozumiałych powodów zmieniły tokowisko na inne, odległe od poprzedniego o kilometr.

Lecz przechodzę do rzeczy. Najłatwiej jest poznać tokowisko głuszcowe jeszcze przed okresem właściwych toków, gdyż wtenczas głuszce „kreślą", czyli chodzą po ziemi z rozpuszczonym wachlarzem i skrzydłami, ryjąc niemi w śniegu dość głębokie brózdy. Proces kreślenia miewa miejsce, gdy tylko słońce zacznie mocniej dogrzewać i w sosnowych lasach wokoło drzew utworzą się małe kółka, wolne od śniegu. Odbywa się to, jak następuje.

Głuszce już po wschodzie słońca przylatują na obrane do igrzysk miłosnych miejsce i z głośnym łopotem skrzydeł na niem zapadają. Przez chwilę ptak siedzi cicho, wyciągnięty jak butelka, a przekonawszy się, że żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża, zlekka rozsuwa wachlarz, opuszcza cokolwiek skrzydła i zaczyna klapać. Chodzi przytem po małym, do półtora metra mierzącym odcinku, zawsze po tej samej drodze, nierzadko cofając się tyłem, podskakując od czasu do czasu wysoko i głośno bijąc skrzydłami.

Następnie przenosi się ptak na inne miejsce, o kilka metrów od poprzedniego odległe i tu rozpoczyna się właściwe kreślenie. Głuszec zaczyna chodzić, zataczając półkola, klapiąc i szlifując, w czasie szlifowania rozpuszczając skrzydła więcej i zniżając ogon tak, że te pierwsze sięgają do samej ziemi i ryją w śniegu brózdy, podczas czego wydaje lotkami głuchy, huczący dźwięk, dość daleko słyszalny. Trzeba mieć na uwadze, że głuszce zawsze kreślą w pobliżu dróg i ścieżek, a jeżeli ich niema, to na brzegach wolnych od lasu przestrzeni.

Gdy wiosna zacznie czynić poważniejsze postępy, lecz jeszcze przed okresem właściwych toków, głuszce tokują bardzo krótko, bo zaledwie dziesięć do piętnastu minut podczas ranka i to tylko bardzo stare koguty. Przylatują też wtedy na tok dopiero zrana.

W tym wypadku poznaje się obecność toków głuszcowych po łajnie. Charakterystycznem tu jest, że głuszce obierają sobie najchętniej sosenkę o uschłym wierzchołku, pomiotu więc trzeba poszukiwać pod takiemi właśnie drzewami. Tokując, ptak ustawicznie przeskakuje z gałęzi na gałąź, rozrzucając łajno naokoło całego drzewa. Stanowi to nieomylny znak, że na danem drzewie głuszec tokował, a nie nocował, gdyż w tym ostatnim wypadku pomiot będzie tworzył kupę.

Trzeba pamiętać, że głuszce nie tokują teraz jeszcze na samem tokowisku, lecz w jego bezpośredniem sąsiedztwie.

W okresie właściwych toków, można odszukiwać tokowiska po pomiocie, jak również zasadzając się na zapady.

Teraz słów parę o terenie, jaki głuszce najchętniej na tokowisko obierają. Bardzo rzadko tokują one wśród zwartego, gęstego lasu. Najczęściej musi być gdzieś w pobliżu miejsce niezalesione, choćby niewielkich rozmiarów. Jeżeli zaś rzecz się dzieje na błocie, to znajdować się musi tam wyspa lub pagórek. Niestety jednak nie da się tu wyprowadzić żadnej reguły.

Fantazje, któremi kierują się głuszce w obieraniu sobie tokowiska, należą do tajemnic przyrody, do których człowiek nigdy klucza nie znajdzie.

OTTON PEREŚWIET-SOŁTAN.



ŁADUNKI ŚWIEŻE I STARE.

Na polowaniach często się zdarza, że jedni i ci sami myśliwi strzelają dość różnorodnie. Ta niejednolitość, zwłaszcza na polowaniach zimowych, bywa rozmaicie tłomaczona. Mówi się o usposobieniu i o pechu, o strzelaniu przed i po śniadaniu, o kolanku, najczęściej jednak niepowodzenie tłomaczy się złym gatunkiem, czyli t. zw. słabością ładunków.

Wrodzona u nas, narodowa cecha pewnej nieufności do rodzimych poczynań technicznych przejawia się i u naszych nemrodów w stosunku do krajowej amunicji. Wyświetlenia, jakie otrzymaliśmy ze strony p. inż. Walerego Maryańskiego w Nr. 23 „Łowca Pol." oraz p. inż. D. Smoleńskiego w Nr. 3 z r. ub. są bardzo cenne i wyczerpują poniekąd dyskusję na temat naszych ładunków.

Określenie cech balistycznych, wykazanych zapomocą precyzyjnych pomiarów, dokonanych na specjalnie zainstalowanych przyrządach przez stację badawczą, z matematyczną ścisłością stwierdzają, że nasze krajowe ładunki nie ustępują zagranicznym. Z doświadczenia natomiast osobistego, a i w rozmowie z kolegami myśliwymi co do skuteczności strzałów w polu, kniei i na wodzie, nasuwają się pewne wątpliwości, potwierdzane przykładami, które muszą zastanawiać i doprowadzać do wniosku, że istnieją pewne warunki, od których zależy rezultat strzału.



Z polowania na wilki w Zemłosławiu. Od lewej pp.: S. Dembiński, mjr. R. Borycki, prezes Z. Ruszczyc, inż. J. Grabowski i ppłk. M. Dąbrowski. Fot. mjr. K. Wisłouch.

Od dłuższego już czasu zastanawiało mnie, czy mianowicie przeciąg czasu pomiędzy wytworzeniem ładunku, a jego użyciem, nie wywiera na to pewnego wpływu. Szereg przykładów, wziętych z praktyki, wskazuje, że ta zależność prawdopodobnie istnieje i dotyczy tak krajowej, jak i zagranicznej amunicji. Musi tu więc mieć znaczenie t. zw. stabilizacja prochów myśliwskich, która dla myśliwych, zwłaszcza strzelających stosunkowo niezbyt wiele, jest rzeczą naogół ważną, a powszechnie niedocenianą.

Przed czterema laty jedna z firm krajowych wypuściła na rynek nowy gatunek ładunków, dość reklamowany. Nabyłem setkę tych ładunków i muszę stwierdzić, że zaraz po pierwszem polowaniu, mając w kotłach na 13 strzelonych 11 zabitych zajęcy i to nadzwyczaj czysto, bez żadnej poprawki, byłem zachwycony. Dwa leśne polowania dały mi najlepszy, lub prawie najlepszy pokot. Koty, strzelane dalej i bliżej, padały, jak piorunem rażone, żaden nie potrzebował powtórzenia z lewej lufy. W następnym roku, mając jeszcze około 40 ładunków z owej setki i strzelając z tej samej strzelby, byłem tak na leśnych, jak i na polnych polowaniach niemile zdziwiony. Zwierzyna, aczkolwiek najwidoczniej trafiana, wlokła się długo, lub wogóle uchodziła — w wolniejszem tempie. Duży procent zajęcy musieli naganiacze doganiać i dobijać kijami, co dla każdego myśliwego nie jest ani przyjemne, ani też praktyczne. Tylko bardzo blisko strzelone koty były położone czysto. Coś się zepsuło w „państwie duńskiem", pomyślałem i przyczynę zwalałem na broń. Lecz gdy te zeszłoroczne ładunki zostały wyczerpane i nabyłem nowe, oczywiście z innej firmy, bo do tamtych naturalnie straciłem serce, zacząłem znów strzelać niezgorzej i dosyć czysto na dalsze mety.

Inny przykład z moim kolegą D. z ubiegłego sezonu. Polowaliśmy trzy razy, kolega D. na pierwszem i drugiem polowaniu strzelał bardzo słabo, ogólna ilość strzelonych zajęcy i bażantów nie przenosiła 12 — 15%; byliśmy na większem polowaniu w jednej partji, więc obserwowałem stale jego strzały i nie mogłem wyjść z podziwu. Na trzeciem polowaniu kolega D. miał najlepszy pokot i ilość zabitych w stosunku do strzelanych wynosiła nie mniej, niż 75%. Kiedy zagadnąłem go o przyczynę, stwierdził, że na poprzednich dwóch polowaniach strzelał staremi ładunkami, zakupionemi przed dwoma laty z innej znów fabryki, niż w opisanym uprzednio wypadku, na trzeciem zaś polowaniu strzelał nowemi.

Inny znów przykład osobisty. Pojechałem w końcu października ub. r. na bażanty, wyjazd nastąpił w tempie dosyć przyśpieszonem, zabrałem dwudziestkę i kilkadziesiąt ładunków kaczych, które pozostały mi po powrocie z zeszłorocznych sadów na Polesiu. Strzelałem do bażantów naogół podle, nie żebym wogóle nie trafiał, owszem, ale było coś gorszego: bażanty po strzale puszczały pierze i leciały dalej. Szczególnie zirytowało mnie kilka bażantów, a nawet jedna kuropatwa, strąconych w locie i już leżących, które po dojściu naganiaczy zrywały się ponownie i leciały dalej, jakgdyby nigdy nic. Było to dla mnie coś zupełnie nowego.

Może postępuję tutaj nieoględnie, przyznając się do złych rezultatów, kiedy przeważnie myśliwi opisują jedynie dobre wyniki, ale idzie mi tu o podanie do wiadomości zaobserwowanych faktów. Na zasadzie powyższych i podobnych spostrzeżeń, oraz rozmów z myśliwymi „brzytwami", chciałbym do dyskusji, jaka się pomiędzy p. J. Drohojowskim a p. inż. D. Smoleńskim w naszej prasie łowieckiej toczyła, dorzucić pewną uwagę, czy czasem obaj autorzy, piszący w sprawie naszej amunicji, nie mają racji. To znaczy, że nasze krajowe ładunki są bardzo dobre, ale mogą być i złe, jeśli leżą za długo, czyli że mam na zasadzie praktyki pewne wątpliwości, czy na jakość naszych nabojów nie wpływa czas ich zużycia w stosunku do daty produkcji prochu, którym zostały naładowane. Jak się to osłabnięcie, lub zestarzenie się ładunku wyraża w % do ładunku świeżego, w zależności od czasu leżenia, to trudno na zasadzie praktyki w polu czy kniei zdefinjować, ma się jedynie wrażenie ogólne, że zwierzyna dostaje, lecz za słabo, bez naruszenia kości. Również nie może być prawdopodobnie ten objaw stwierdzony ani przy strzelaniu do rzutków, ani też w zwykłych strzelnicach. Tylko doświadczenia, przeprowadzone przez stację badawczą, biorące za podstawę siłę przebijania, mogą dać cenne wskazówki. Byłoby bardzo wskazane, aby Stacja Badawcza P. Z. S. Ł w Rembertowie przeprowadziła specjalnie doraźne, a ponowne badania ładunków, wy-

produkowanych przed kilku laty, o znanych Stacji własnościach. Porównanie rezultatów ze strzałów ówczesnych i obecnych, o ileby stwierdzone zostały różnice, a więc o ile moje podejrzenia okazałyby się słuszne, że nasze ładunki starzeją się szybko, mogłoby być cennym przyczynkiem dal naszych fabryk prochu, które musiałyby poddać rewizji t. zw. stabilizację prochów myśliwskich, a może i niemyśliwskich.

Dla myśliwych, strzelających w ciągu roku stosunkowo mało, dajmy na to sto do dwustu razy, zagadnienie starzenia się prochu bezdymnego posiada inne znaczenie, aniżeli dla tych myśliwych, którzy strzelają w roku po kilka tysięcy razy. U tych pierwszych odsetek ładunków zeszłorocznych jest stosunkowo duży i wynosić może 50%. Ci drudzy mają zwykle małe zapasy amunicji z lat ubiegłych, a stosunek starej amunicji do nowonabytej może wynieść zaledwie kilka procent. Myśliwi, polujący stosunkowo mało, bywają też z reguły na gorszych polowaniach, gdzie do strzału nie przychodzi się w każdym miocie, są więc specjalnie wrażliwi, jeśli, oddając w ciągu całego dnia kilka zaledwie strzałów, nie będą zabijać zwierzyny, lecz ranić ją.

Weźmy naprzykład myśliwego na kresach. Kupuje on naboje z żakanami na dziki, lub loftki na wilki, ładunki te na skutek niezbyt częstych pomyślnych łowów na grubszą zwierzynę, gdzie ona nie jest specjalnie hodowaną, leżeć mogą przeciętnie po kilka lat. Naraz wymarzona chwila... polowanie... trąbka ze strony naganki... Wychodzi wilk... strzelony starym nabojem — znaczy i ginie z oczu. Farba jest, ale zwierza odszukać się nie dało. Strzeliłem, powiada myśliwy, dobrze, dostał na komorę napewno i uszedł? Oczywiście w poważnej ilości wypadków zwierz mógł być niedobrze trafiony, ale jeśli można na strzelanem ptactwie skonstatować powtarzający się kilka razy fakt spadnięcia po strzale i ponownego zerwania się do lotu, to cóż mówić o zwierzynie silnej, o grubym systemie kostnym, broniącym najważniejszych organów życiowych.

Nie są mi znane warunki fabrykacyjne w naszych wytwórniach prochu, ale wiemy z teorji, że o ile proch dymny odznacza się naogół stałością ze względu na to, że jest on mieszaniną, złożoną z samych nieorganicznych składników, to znaczy saletry potasowej, siarki i węgla, to stałość prochów bezdymnych, jako produktu, wynikającego z działania kwasów nitracyjnych na celulozę w postaci bawełny lub drzewa, jest często pod znakiem zapytania. Prochy z dodatkiem gliceryny znitrowanej, które odznaczają się wiekszą stałością, prawdopodobnie jako zbyt silne i dające wysoką temperaturę, nie mają zastosowania do amunicji myśliwskiej, która, przypuścić należy, tak u nas, jak zagranicą, korzysta wyłącznie z prochów nitrocelulozowych. Dla tego rodzaju prochów kwestja stabilizacji jest jednym z najtrudniejszych szczegółów fabrykacji.

Praktyka z przechowywaniem amunicji z ubiegłej wojny wskazała, jako na wielką wadę, na tę właśnie niestałość prochów nitrocelulozowych, na skutek czego państwa zachodnie bezpośrednio po wojnie wielkie ilości prochów karabinowych zniszczyły. Karol Moureu*) pisze w tej sprawie: „Pomimo wszelkich usiłowań w fabrykacji, prochy B, to jest bezdymne celulozowe, są zawsze produktami niestałemi, rozkładającemi się samodzielnie i powoli w zwykłej temperaturze, wydzielając przytem różne gazy: gaz węglowy, tlenek węgla, azot, podtlenek azotu, dwutlenek azotu, metan, wodór. Możliwem jest zmniejszyć psucie się, a tem samem przedłużyć „życie" tego prochu, wcielając doń małe ilości takich materjałów, jak alkohol amylowy, mocznik, dwufenylamina i t. p. W czasie działań wojennych utrwalanie prochów, przeznaczonych dla artylerji lądowej, było bezużyteczne z powodu prędkiego ich wystrzeliwania, utrwalano więc jedynie prochy, przeznaczone do marynarki, które musiały pozostać dłużej w prochowniach okrętów".

*) Chemja i Wojna, str. 27.

Proch nitrocelulozowy, jak wiadomo, otrzymuje się z bawełny strzelniczej przez zżelatynowanie. Bawełna zaś strzelnicza, otrzymana przez znitrowanie kwasami, jest naogół niezbyt stałą, do czego przyczynia się to, że surowiec używany do znitrowania, nie jest oczyszczonym, lub chemicznie czystym związkiem, jak to ma miejsce przy otrzymywaniu nitrogliceryny, lub nitroaromatycznych związków kruszących. Bawełna, lub celuloza drzewna, są produktami roślinnemi, zachowującemi swoją strukturę oraz pewne nieznaczne zresztą domieszki w postaci substancyj, które nie dają się usunąć. Te prawdopodobnie domieszki organiczne i nieorganiczne tworzą z kwasami nitracyjnemi związki nietrwałe, które w miarę leżenia prochu zaczynają się rozkładać i powodują tak zw. denitrację, która spotęgowana jest tem, że produkty rozkładu zostają absorbowane przez koloidalny stan prochu bezdymnego, przez co ułatwia się dalszy rozkład.



Tam, gdzie padł. Fot. inż. E. Woynicki

„Badania prochów zestarzałych*) wykazały w nich związki nitrozoalkoholowe, które z natury są nietrwałemi, a powstają przez działanie tlenków azotu na rozpuszczalnik, następnie kwasów, powstałych z rozkładu ich: kwasu walerjanowego i octowego. W ten sposób została uwidoczniona rola, jaką odgrywają związki nitrozoalkoholowe w rozkładzie prochów. Odświeżanie powietrza, dostarczającego nowych porcyj tlenu, jak również wilgoć, wykazują wpływ szkodliwy. Psucie się prochu, które można wywołać umyślnie, zaczyna się zawsze na powierzchni płytki; przy rozkładzie prochu z dwufenylaminą ten stabilizator daje związek nitrowy przez wstawienie grupy NO, potem występują nowe grupy NO, aż do trójnitrosodwufenylaminy i wtedy rozkład zaczyna następować. Wobec tego, że wszystkie te związki dają się wykryć w prochu przez reakcje kalorymetryczne, użycie dwufenylaminy pozwala na kontrolę stałości prochów. Wszyst-

*) Materjały Wybuchowe — inż. Paul Verola, str. 179.

ko to wskazuje, jak bardzo zawiłą jest kwestja konserwacji prochu koloidalnego. Ulepszenie jego wyrobu — pisze p. Verola — i sposób zastosowania może być zrealizowany przez współpracę wytwórców z konsumentem..."

Niech mi nie wezmą za złe pp. fabrykanci prochów, że sprawę tę jako konsument poruszam, ale rzecz ta może mieć daleko ogólniejsze znaczenie, o czem też wspominam w moich artykułach, drukowanych w latach ubiegłych w czasopiśmie „Polska Zbrojna", pod tyt. „Myślistwo, a sztuka wojskowa" oraz „Myślistwo i zaopatrzenie wojskowe".

Starzenie się prochów było też zaobserwowane już i przed wojną. Jeden z najlepszych polskich myśliwych i strzelców, który miał szereg nagród za strzelanie do gołębi, nazywał stare ładunki, nabite bezdymnym prochem rosyjskiego pochodzenia, „gałganami" i miał specjalne pudełko, gdzie te „gałgany" odkładał, używając je tylko na mniej wartościowych polowaniach. Pewien też opór, jaki sprawiało wprowadzenie przed wojną prochu bezdymnego, trzeba przypisać ówczesnej niedostatecznej stabilizacji prochów i wrażliwości na stan atmosfery.

Z tego rodzaju starzejącą się zagraniczną amunicją powojennego pochodzenia natknąłem się, kupując ładunki do Manlichera w latach 1926 — 28. Po kilku niezwykłych „pudłach" do rogaczy, zacząłem próbować do celu. Naboje okazywały się tak słabe, że na 200 metrów dołowały na pół i więcej metra, a niektóre kule orały ziemię. Od tego czasu, wybierając się na grubszą zwierzynę, z każdej paczki amunicji kulowej używam po trzy naboje na próbę do celu i po otrzymaniu pozytywnych rezultatów dla trzech strzałów, ową paczkę zabieram na rykowisko. Zagadnienie stabilizacji jest zatem szersze i obejmuje nietylko amunicję krajową, ale i amunicję wszelkiego pochodzenia.

Wnioski, jakie z powyższych wywodów wypływają, dałyby się streścić w sposób następujący:

Na polowaniach, jeśli mamy pewną ilość amunicji starszego pochodzenia, do prawej lufy należy kłaść ładunki stare, natomiast do lewej ładunki świeże.

Na polowaniach, gdzie możemy spodziewać się rzadszej, lub cenniejszej zwierzyny, używać nabojów świeżego pochodzenia.

Odnośnie przechowywania nabojów starać się możliwie przechowywać je w jednakowych warunkach: niewystrzelone ładunki, które mieliśmy już raz na polowaniu, a które mogły uledz wpływowi niższej temperatury, lub wyższej wilgotności, starać się zużyć na polowaniach następnych.

Inż. TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

Ś. P. INŻ. HENRYK RÜDIGER.



I znów odszedł jeden z naszych towarzyszy z pod znaku św. Huberta, ś. p. Inż. Henryk Rüdiger. Po ukończeniu wyższych studjów zagranicą, początki swej karjery rozpoczął na południu Rosji gdzie, jak i po powrocie do kraju, zawdzięczając swym zaletom serca i umysłu zajmował szereg wybitnych i kierowniczych stanowisk w dziedzinie ceramiki. Nieubłagana śmierć zastała go na stanowisku Dyrektora Cementowni Firley w Rejowcu Lubelskim.

Był człowiekiem dobrym, kochał ludzi, kochał swych podwładnych, robotników i urzędników, wszystkim chciał robić dobrze. Kochał zwierzęta, kochał swe konie i pieski, i całą przyrodę, był dobrym hodowcą zwierzyny, a w dowód Jego zalet myśliwskich mianowano Go dożywotnim honorowym prezesem Koła Prawidłowego Myśliwstwa „Djana" w Zawierciu i delegatem P. Z. S. Ł. na powiat chełmski.

Wielu towarzyszy z pod znaku św. Huberta żegnało na zawsze ś. p. Henryka Rüdigera ze łzami w oczach. Już nigdy nie wróci Twoja gościnność, kochany Towarzyszu, lecz nigdy też nie wyjdzie ona z naszej pamięci. Cześć Ci, kochany Towarzyszu. Niech Ci ziemia, którą kochałeś, lekką będzie.

J. Ś.

ZMIANA CZASÓW OCHRONNYCH.

Dz. U. R. P. Nr. 13, poz. 126.

Rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 11-go lutego 1936 roku
o uchyleniu rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 20 listopada 1935 r. o zezwoleniu na polowanie na łanie i cielęta jelenia i daniela oraz na sarny-kozy i koźlęta w województwach poznańskiem i pomorskiem.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. e) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U.R.P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U.R.P. Nr. 67, poz. 622), zarządzam co następuje:

§ 1. Uchyla się rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 20 listopada 1935 r. o zezwoleniu na polowania na łanie i cielęta jelenia i daniela oraz na sarny-kozy i koźlęta w województwach poznańskiem i pomorskiem (Dz. U.R.P. Nr. 86, poz. 535).

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:

J. Poniatowski.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Posiedzenie Zarządu Związku.

W dniu 22 b. m. (niedziela), o godzinie 10 min. 30 rano, odbędzie się w Warszawie, w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego (Nowy Świat Nr. 35), plenarne posiedzenie Zarządu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

ODEZWA DO LUDNOŚCI.

Poniżej zamieszczamy in exstenso odezwę, wydaną staraniem Delegatów P. Z. S. Ł. na powiat Nowogródek, która może służyć jako wzór akcji tego rodzaju na wszystkich ziemiach Polski.

DO MIESZKAŃCÓW POWIATU NOWOGRÓDZKIEGO.

DO WSI NOWOGRÓDZKIEJ.

Podobnie jak w ciągu paru lat ubiegłych, zima na dobre rozpoczyna się u nas w lutym. Spadłe świeżo śniegi, zbliżające się mrozy grożą nam dobitnie. Do serc ludzkich o litość i opiekę zwracają się — jak pewien święty powiedział — młodsi bracia człowieka — zwierzyna i ptactwo pól i lasów.

Zwłaszcza ptactwo. Przez lato pomagało nam ono w oczyszczaniu naszych pól i sadów od groźnych szkodników — liszek i najrozmaitszych innych owadów; znaczna jego część odleciała — sporo jednak zostało z nami, prowadząc wśród śniegów, przykrywających im paszę — życie bardzo żałosne.

Biedne ptaki, przyjaciele nasi, bez których zjadłoby nasze plony różnorakie robactwo, zlatują się do ludzkich domostw, szukając tam pożywienia, a często i schronienia przed zimnem.

Wszakże w krajach, gdzie ludzie znają ich wartość, znajdują one pożywienie. Ludzie tam dokarmiają je przez całą zimę. U nas, niestety, jest inaczej — jest bardzo źle.

Zamiast pożywienia ptactwo znajduje sidła i ginie nierzadko po długich męczarniach.

Należy z tem skończyć. Przecież obliczono, że jedna kuropatwa potrafi w ciągu dnia zjeść kilkaset do tysiąca różnych liszek i żuków, niszczących nasze zboża i trawy. Przekonano się, że powódź w Małopolsce wyniszczyła przed paru laty także i kuropatwy: na polach obszarów popowodziowych rozpanoszyła się klęska gąsienicy (liszki) czopówki. Zniszczyły te gąsienice zupełnie rzepę ścierniskową, różne mieszanki paszowe i inne rośliny uprawne. Tylko tam, gdzie zachowały się szczęśliwym przypadkiem nieliczne stadka kuropatw, tam klęska gąsienicy nie dotknęła upraw. Kuropatwy wytępiły szkodliwe robactwo.

Należy więc chronić te miłe i pożyteczne ptaki. Mądre prawo zakazało używania jakichkolwiek sideł i pułapek. Nawet polować wolno na nie tylko w ciągu dwóch miesięcy w roku: we wrześniu i październiku. Przez resztę czasu muszą być bezpieczne zupełnie.

Prawo to chroni także i zwierzynę: zające, sarny, oraz ptactwo: cietrzewie, głuszce i wiele innych. Bo zwierzyna dzika jest takiem samem bogactwem kraju, jak zwierzęta domowe, i w krajach, gdzie ochraniają ją, a nawet hodują, ciągną z niej znaczne zyski.

Pamiętać także trzeba o włóczących się po polach psach i kotach, które w zastraszający sposób niszczą zwierzynę. Trzymać je trzeba w domu i karmić tak, jak na to zasługują, aby nie były szkodnikami.

Prosimy więc i nawołujemy Was!

1) *Nie pozwalajcie waszym psom i kotom na włóczenie się samopas po polach i lasach; karmcie je w domu i opiekujcie się niemi.*

2) *Tępcie z całą surowością dzikie wybryki, mogące niepokoić lub niszczyć ptactwo i zwierzynę.*

3) *Pomagajcie władzom w tępieniu kłusownictwa, wnykarstwa i sidlarstwa.*

4) *Nie zapominajcie i o tem, jak często uprawianie kłusownictwa wiedzie jednostki do zbrodni.*

5) *Stawiajcie karmniki dla ptactwa przy domach waszych, nie żałujcie trochę pośladu dla głodnej kuropatwy.*

Należy również pamiętać, że Ustawa Łowiecka za stawianie sideł, wnyków, pułapek, kładzenie trutek i t. p. przewiduje surową karę, bo do 500 zł. grzywny i do 6 tygodni aresztu.

O wszelkie porady co do ustawiania karmników dla ptactwa, podkarmiania kuropatw i t. d. należy zwracać się do pp. Kierowników szkół powszechnych, pp. Leśniczych lasów państwowych oraz do niżej podpisanych.

DO MIESZKAŃCÓW MIAST.

I do Waszych domów podczas ostrej zimy zbliżają się pożyteczne ptaki, którym możecie ulżyć w ich ciężkiej doli przez ustawianie choćby prymitywnego karmnika oraz umocowanie trochę tłuszczu za oknem, na zwykłym kołeczku.

Nie powinniście kupować zwierzyny od kłusowników i innych tępicieli, a szczególnie w czasie ochronnym, który trwa: dla kuropatw — od 1 listopada do dnia 1 września; dla zajęcy — od 1 lutego do dnia 1 listopada.

Kupując zwierzynę od wspomnianych osób, współdziałacie w ich przestępstwie.

Gdy się do was zgłoszą ze swą zdobyczą, oddajcie ich w ręce policji. Wszystkim nam przecież zależy, aby raczej wzbogacać naszą faunę, boć tak smutno na polach i w lesie, kiedy są puste i tylko złowrogie krakanie wrony się rozlega.

DO MŁODZIEŻY!

Nieco powyżej mówiliśmy do starszych mieszkańców wsi i miast — teraz zwracamy się do Was. Każda sprawa, zwłaszcza ta, o której tu mówimy, ma zapewnione powodzenie, jeśli ją poprze młodzież swoim zapałem, jeśli ją weźmie do swoich serc.

Do serc waszych chcemy przemówić przedewszystkiem. Chcemy, ażebyście przejęli się niedolą prześladowanych przez człowieka zwierząt i ptaków polnych i leśnych.

Chcemy, ażebyście pokochali te biedne stworzenia, wzięli je pod opiekę, broniąc przed srogością zimy, różnemi drapieżnikami i najgorszym wrogiem — złym, albo głupim człowiekiem.

Stworzenia te, zwłaszcza ptaki — jak już wyżej powiedzieliśmy — są naszymi przyjaciółmi, pomagają ogromnie w pracy rolnikowi i leśnikowi, tępiąc robactwo, niszczące ich dobytek. Trzeba im pomódz.

Trzeba je zimą dokarmiać, trzeba niszczyć zakazane zresztą przez prawo — zastawiane sidła najrozmaitsze; nie można dopuszczać do tego, aby psy i koty włóczyły się swobodnie po polach, mordując ptactwo i zwierzynę. Każdy nauczyciel udzieli Wam wskazówek, jak to wszystko robić trzeba.

Wierzymy, że to zrobicie.

DO MYŚLIWYCH!

Jesteście w pierwszym rzędzie powołani do roztaczania opieki nad zwierzyną i ptactwem. Odczuwacie wielką przyjemność, kiedy tej zwierzyny jest poddostatkiem, kiedy w czasie dozwolonym możecie pasji swej popuścić cugle. Lecz jakże wielu myśliwych należy raczej nazwać tępicielami zwierzyny, niż jej hodowcami, gdyż, nic absolutnie nie dając wzamian za rozkosze łowieckie, starają się jak najwięcej zdobyć, wybijając często do nogi wszystko, co trafi pod lufę. Apelujemy do Was, rycerze z pod znaku św. Huberta, zaopiekujcie się resztą zajęcy, pozostałych po sezonie, karmcie je, kiedy gruby kożuch śnieżny uniemożliwi im wszelki dostęp do pożywienia. Pomyślcie o kuropatwach, które szczególnie u nas wymagają w tym ciężkim dla nich okresie bardzo troskliwej opieki i podkarmiania.

Nikt nie ma prawa czerpać garściami ze skarbnicy wspólnego bogactwa, nic wzamian nie dając!

R. J. Stark, M. Tukałło, W. Mackiewicz, J. Hołociński, St. Łukowski,
Delegaci Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na powiat Nowogródek.

Henryk Niessner, Inspektor szkolny.

Dr. Zygmunt Mockus, w imieniu Pow. Tow. Łowieckiego.

Karol Karpowicz, Delegat Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

Stefan Klaczyński, w imieniu Ligi Ochrony Przyrody.

Inż. Józef Puzynowski, Nadleśniczy i członek Ligi Ochrony Przyrody.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 1 LUTEGO 1936 R.

Obecni p. p.: Przewodniczący Wacław Szperling, Red. Walenty Garczyński, Dyr. Bohdan Gędziorowski, Inż. Jan Grabowski, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Dyr. Andrzej Śliwiński, Mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 21 stycznia r. b.
2. Rozpatrzenie bilansu za rok 1935.
3. Ustalenie projektu preliminarza budżetowego na rok 1936.
4. Sprawy Delegatów Powiatowych.
5. Odznaczenia.
6. Sprawy bieżące.
7. Wnioski.

Wydział Wykonawczy zatwierdził bez zmian protokół posiedzenia swego z dnia 21 stycznia r. b.

Sprawozdanie finansowe Związku i wydawnictwa „Łowiec Polski" za rok 1935 przedstawił Skarbnik Związku, p. Kamieński, omawiając poszczególne pozycje tego sprawozdania oraz przeprowadzając porównanie z preliminarzem budżetowym.

Przedstawiony bilans uznano za zupełnie realny.

Zgodnie z wnioskiem Oddziału Związku na województwo poznańskie, Wielkopolskiego Związku Myśliwych, przyjęto do wiadomości rezygnację z mandatu: Dr. Stanisława Dzianotta, dotychczasowego Delegata na miasto Gniezno, i Nadl. Zbigniewa Hryniewieckiego, dotychczasowego Delegata na powiat Ostrów Wlkp.

Wydział Wykonawczy po rozpatrzeniu nadesłanych wniosków, nadał:

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Stanisławowi Konieczniakowi, przodownikowi p. p., komendantowi posterunku w Słupi (pow. Włoszczowa, woj. kieleckiego),

Antoniemu Konstantynowiczowi, przodownikowi p. p., komendantowi posterunku w Radkowie (pow. Włoszczowa, woj. kieleckiego),

Wacławowi Ociepie, przodownikowi p. p., komendantowi posterunku we Włoszczowie (woj. kieleckie),

Piotrowi Spałkowi, przodownikowi p. p., komendantowi posterunku w Lipiu (pow. Częstochowa, woj. kieleckiego);

Janowi Zemankowi, przodownikowi p. p., komendantowi posterunku w Łabowej (pow. Nowy Sącz, woj. krakowskiego).

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Janowi Kozłowskiemu, przodownikowi p. p. w Nowym Sączu (woj. krakowskie),

Józefowi Tarkowskiemu, st. przodownikowi p. p. w Nowym Sączu (woj. krakowskie),

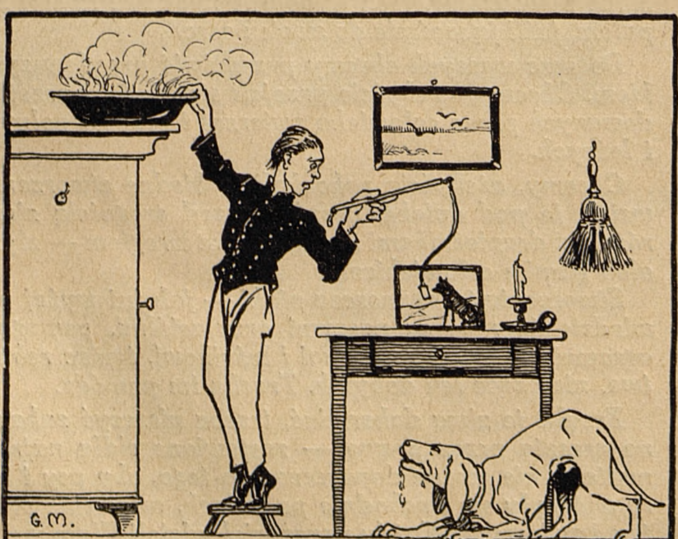
Janowi Masnemu, st. strażnikowi łowieckiemu Nadniemeńskiego Kółka Łowieckiego (Mętna, pow. Bielsk Podl., woj. białostockiego).

Przyjęto do wiadomości treść pisma I Komisarjatu P. P. w Warszawie o przekazaniu Starostwu Grodzkiemu Śródmiejsko-Warszawskiemu aktu dochodzenia w sprawie zakwestjonowanej czaszki z rosochami łosia, znalezionej w pracowni Wiktora Łastowskiego.

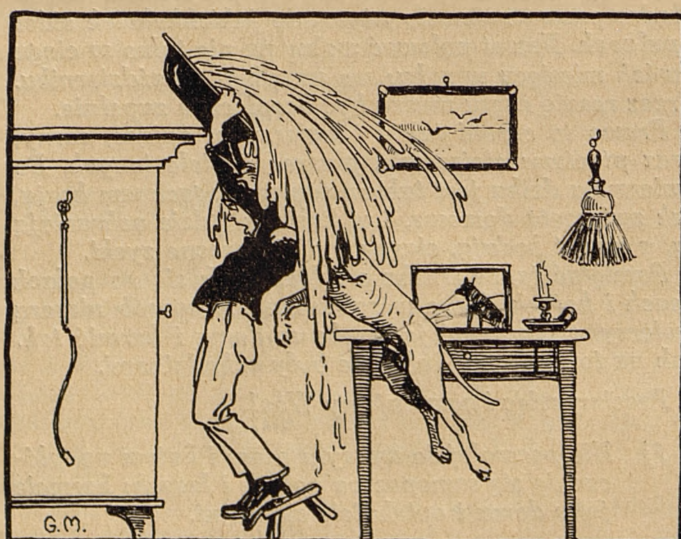
Wydział Wykonawczy zatwierdził projekt zmian regulaminu Sekcji Strzelań Myśliwskich, oraz zmianę nazwy tejże Sekcji na nazwę: Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego. Regulamin ten w zmienionej redakcji załączono do niniejszego protokółu.

Rozpatrzenie projektu schematu sprawozdań Delegatów Powiatowych Związku odłożono wobec nieobecności referenta tej sprawy, p. Inż. Rotkela.

HUMOR MYŚLIWSKI.



Nie rusz!... Niech ostygnie...



Ostygło... Pyf!...

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU OSTROŁĘKA.

Powiat Ostrołęka, położony na Kurpiach (województwo białostockie), ma obszar 227.300 ha z tego: terenów zarejestrowanych, objętych spółkami łowieckiemi, jest 56.232 ha, lasów państwowych około 35.000 ha. Większe majątki prywatne są tylko w południowej i południowo-wschodniej części powiatu, w północnej części na Kurpiach większych majątków niema.

Stan zwierzyny jest bardzo słaby, szczególnie na Kurpiach. Ludność kurpiowska, przywykła do myślistwa, a obecnie do kłusownictwa, tępi zwierzynę nadmiernie, a zresztą ubogie gleby nie sprzyjają rozmnażaniu się zwierzyny.

Rozwinięte jest niesłychanie wnykarstwo; są wsie, które swoje laski mają wprost odrutowane, iż przejść jest trudno, żeby się nie złapać na wnyki.

Do starostwa w 1935 r. wpłynęło spraw za przekroczenia łowieckie, prócz spraw za nielegalne posiadanie broni — 42, z tego osądzonych było 23. Broni skonfiskowano przez policję i straż leśną 58 sztuk.

Pozwoleń na broń myśliwską wydano w roku 1935: 43 osobom prywatnym, 32 administracji lasów państwowych, 1 pozwolenie leśniczemu prywatnemu.

Kart łowieckich w roku 1935 wydano 58, prócz tego ważnych jest kilka kart 3-letnich z poprzednich lat.

Na terenie powiatu istniało T-wo Łowieckie Ostrołęckie w Ostrołęce, obejmujące około 30 członków i dzierżawiło tereny prywatne oraz włościańskie w Łazku, grupujące myśliwych włościan.

W końcu roku 1935 T-wo Łowieckie Ostrołęckie rozwiązało się wskutek trudności finansowych i organizacyjnych. Z inicjatywy oddziału powiatowego Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Białostockiej powstało nowe T-wo Racjonalnego Polowania przy Radzie Łowieckiej, które ma już około 20 członków. Statut posłano do rejestracji, wyznaczono tymczasowy zarząd, na którego czele stoi burmistrz Ostrołęki p. P. Mantey. Powiatowy Oddział Wojewódzkiej Rady Łowieckiej istnieje już 3 lata, prezesem jego jest nadleśniczy Ignacy Iglikowski, delegat Polskiego Zw. Stow. Łowieckich. Powiatowa Rada Łowiecka z budżetu 1935 r. sprowadziła 2 komplety zajęcy (8 sztuk) dla odświeżenia krwi w lasach państwowych leśnictwa Łodziska. Rada zakupiła dwie nagrody wartościowe dla policji i straży granicznej za zwalczanie kłusownictwa. Wskutek słabego zwierzostanu ilość ubitej zwierzyny jest również skromna. Należy jednak podnieść, że stan zwierzyny, choć powoli, jednak stale wzrasta.

W lasach państwowych podniósł się stan sarn; w nadleśnictwie Ostrołęka jest ich około 100 sztuk, jeszcze więcej jest w nadleśnictwie Kolno, które częściowo należy do powiatu ostrołęckiego, częściowo do łomżyńskiego.

Wyniki polowań, mimo, że majowe śniegi i zimno niesprzyjająco odbiły się na stanie zwierzyny, w niektórych wypadkach były niezłe, jak na nasze okolice. Np. w majątku Grodzisk u p. Jerzego Andlauera ubito na polowaniu 240 zajęcy. W lasach państwowych najlepszy wynik był w nadleśnictwie Podgórze, leśnictwie Wykrot, gdzie padło 50 zajęcy, 1 kuna, 1 kozioł i widziano kilka lisów. Stan kuropatw jest naogół niezły.

Lasy państwowe kładą duży nacisk na hodowlę i ochronę zwierzyny: zakłada się poletka pastewne, sieje rośliny pastewne dla zwierzyny, wyznacza się nagrody za odbierane strzelby i wypłaca się strzałowe za szkodniki.

Władze administracyjne i policyjne współdziałają z delegatem i pomagają w pracy, jednak kary za przekroczenia łowieckie i wnykarstwo są stosowane za łagodnie.

IGNACY IGLIKOWSKI, Nadl. l. p.
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Ostrołęka.

Z POWIATU KALISZ.

Powiat kaliski (woj. łódzkie) posiada 248 zarejestrowanych obwodów łowieckich o łącznej powierzchni 108.395 h. W roku 1935 wydano 247 kart łowieckich. Na terenie powiatu istnieją dwa Towarzystwa myśliwskie i Wojskowe Koło Łowieckie, które spełniają sumiennie swoje zadania, mając na uwadze etykę myśliwską. Jest kilka Kółek łowieckich w powiecie, które po części składają się nie z myśliwych w całem tego słowa znaczeniu, lecz strzelców, mających na celu wybicie zwierzyny, a nie rozmnożenie i prowadzenie racjonalnej opieki. Na to powinno zwrócić się uwagę przy nowelizacji ustawy, by te kółeczka i tych panów strzelców, nieobjętych jako członków, cokolwiek ograniczyć w wystrzeliwaniu zwierzyny, które nieraz, dzięki granicy z dobrym zwierzostanem, staje się takich panów rzemiosłem.

Stan zwierzyny w powiecie jest dobry, lecz nie powiększył się, a to z powodu klęski posuchy, która nawiedziła okolice.

Plaga kłusownictwa nie zmniejsza się, chociaż bardzo energicznie jest zwalczana przez starostwo i policję wspólnie ze strażnikami łowieckimi. Gdyby ustawa łowiecka nie była tak ograniczona, oraz sądy powiatowe stosowały ostre kary i nie zawieszały kar, to rezultaty likwidacji kłusownictwa byłyby intensywniejsze.

Przy sposobności przedłożenia sprawozdania zwracam się z wnioskiem i prośbą o wyjednanie skrócenia polowania na zające i bażanty koguty do 1 stycznia, gdyż, patrząc zawsze z punktu opieki i ochrony zwierzyny łownej, zauważyłem, że wszystkie przeważnie tereny łowieckie racjonalnie prowadzone — opolowane są do 1 stycznia, a czas od 1 stycznia do 1 lutego daje tylko możność tępienia zwierzyny i zbyt kłusownikom.

Byłoby pożądanem wprowadzenie ścisłej kontroli pochodzenia i pieczętowania, to jest sprawa bardzo ważna i powinna być niezwłocznie wprowadzona, chcąc zlikwidować w 85% kłusownictwo.

KAZIMIERZ RASZEWSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. pow. Kalisz.

Z POWIATU SIEDLCE.

Sprawozdanie moje obejmuje jak zwykle tylko tę część powiatu siedleckiego, która dawniej należała do pow. konstantynowskiego, który to rejon mam pod swoją opieką.

Rok 1935/36 zaznaczył się w gospodarce łowieckiej na terenie powiatu, niestety, bardzo ujemnie. Stan zajęcy zmniejszył się przeciętnie o jakie 50%, stan kuropatw zmniejszył się również o jakie 25%. Kuropatwom zaszkodziły, jak zresztą na terenie całej Polski, mrozy w maju, co spowodowało spóźnione niesienie jaj, które w wielu wypadkach zniszczone zostały przy zbiorach koniczyny i zbóż. Stan jednak kuropatw nie jest zły i prawdopodobnie stratę tę łatwo odzyskamy przy pomyślnych warunkach w roku bieżącym. Natomiast katastrofalny jest stan zajęcy, których prawie nie było widać na polowaniach tegorocznych.

Mimo moich ostrzegań o takim stanie, niestety, prawie wszystkie majątki i kółka łowieckie urządzały polowania, a rezultaty były opłakane. Prawidłową gospodarkę łowiecką prowadzą tylko bardzo nieliczne majątki, a i to przy dzisiejszym, ciągle wzrastającym kryzysie napotyka na coraz większe trudności.

Kryzys obecny dał się również we znaki i wieśniakom, co pociągnęło za sobą wzrost kłusownictwa i wnykarstwa. Na szczęście tegoroczna, do tej pory prawie bezśnieżna zima, uniemożliwiała ten ostatni proceder. Dziś, mimo, iż śnieg na polach leży grubą warstwą, wnykarstwa nie spotyka się dzięki temu, że śnieg padł zapóźno i chłopek nie ma gdzie sprzedać zająca.

Wybitnie natomiast poprawił się stan sarn w majątku Hruszniew, gdzie zabito tylko kulą w lecie 5 rogaczy i jednego na zimowem polowaniu. Dziki przechodnie w lasach majątku Hruszniew, Kisielew i Chotyczy były dość częstymi gośćmi, lecz prawie nigdzie nie stały się zdobyczą myśliwego, z wyjątkiem jednego spotkania w Hruszniewie.

Zmiana komendanta posterunku p. p. w Sarnakach pociągnęła za sobą cały szereg konfiskat broni palnej i aresztowań. Kary administracyjne stosowane jednak były, niestety, w zbyt niskim wymiarze. Komendant posterunku w Sarnakach, Władysław Lis, zaznaczył się bardzo dobrze dla łowiectwa, podany był przezemnie do odznaczenia go medalem bronzowym P. Z. S. Ł. Medal ten został mu przyznany, a po otrzymaniu go ze Związku zostanie mu uroczyście wręczony. Mam nadzieję, że będzie to bodźcem dla innych policjantów, którzy, aczkolwiek przemęczeni innemi sprawami, gdy zobaczą, że wysiłki ich

w kierunku zwalczania kłusownictwa są nagradzane, zechcą pójść w ślady odznaczonego.

W tym roku wygasa w większości wypadków termin posiadania trzyletniej karty łowieckiej, w tym też celu porozumiałem się ze starostwem, by otrzymać spis osób, które kartę nową chcą otrzymać, co do czego mam opinjować, jako delegat P. Z. S. Ł.

Ciekawe zjawisko obserwowano 27 stycznia, mianowicie osobiście widziałem i słyszałem skowronka, niestety, przy późniejszych mrozach biedak musiał zginąć. Również zajęczyce z ostatnich styczniowych polowań były w wielu wypadkach już kotne.

Co z tem potomstwem będzie nie jest już tajemnicą i dlatego rok 1936/37 będzie w rezultatach zajęczych znowu słaby. Oby tylko myśliwi zechcieli zrozumieć to i w tym roku urządzali polowania bardzo oględnie, albo nawet wcale, gdyż ubiegły rok był katastrofalny dla zajęcy i ten będzie nienajlepszy.

Nie należy jednak opuszczać rąk w tej pracy, mimo wielu trudności, na jakie napotyka każdy myśliwy, a przedewszystkiem mimo kryzysu, trzeba wreszcie każdemu myśliwemu wytłomaczyć, że gospodarka łowiecka prawidłowo prowadzona może być nawet lekko dochodową, nie licząc samej przyjemności polowania. A przyjemności dziś mamy tak mało. To uświadamianie myśliwych — to mojem zdaniem najbardziej istotna część pracy delegata powiatowego.

Rezultatów z tegorocznych polowań nie podaję, były one w każdym razie bardzo, bardzo mizerne, aż wstyd, że niektórzy myśliwi mogli urządzać polowania, wiedząc, że w ich łowisku prawie niema zwierzyny.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI,
Delegat P.Z.S.Ł. na pow. Siedlce.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

WYSTAWA ŁOWIECKA W POZNANIU.

(—zet—) W dniu 15 marca b. r. staraniem „Łowca Wielkopolskiego", Towarzystwa racjonalnego myślistwa, zostanie otwartą w Poznaniu, przy ul. 27 Grudnia Nr. 5, wystawa trofeów łowieckich.

Jak deklaruje Zarząd „Łowca Wielkopolskiego", wystawy takie mają się odbywać rokrocznie i będą się składać zasadniczo z dwóch działów: s t a ł e g o, obejmującego pokaz trofeów za ubiegły okres roczny, dla wykazania wyników hodowli i dokonania przeglądu racjonalności odstrzału (przyczem w przyszłości byłby to dla członków T-wa pokaz obowiązkowy); z m i e n n e g o, obejmującego inne poszczególne dziedziny życia w odniesieniu do łowiectwa.

Tegoroczna wystawa, prócz tych dwóch działów, obejmie nadto trofea łowieckie, zdobyte przez myśliwych od 1 stycznia 1919 do 31 grudnia 1934 r.

W dziale stałym pokazane będą trofea, zdobyte od 1 stycznia 1935 do 29 lutego 1936 r. włącznie.

Dział zmienny poświęcony zostanie w bieżącym roku dziełom sztuki, przedstawiającym tematy łowieckie, a mianowicie: obrazy, grafikę, rzeźbę, sztukę stosowaną i dział starej broni myśliwskiej.

Komisja sędziowska w dziale trofeów składać się będzie z pp. prof. U. P. dr. Edwarda Schechtla, jako przewodniczącego, Tadeusza Majera, Saturnina Mravincsicsa, inż. Bronisława Przybylskiego i radcy leśn. Józefa Ziółkowskiego.

Dział sztuki sądzić będą pp.: dr. Stanisław Celichowski, jako przewodniczący, dyr. Muzeum Wojsk. Władysław Marcinkowski, mec. Stefan Osmólski i kustosz Muzeum Wlkp. dr. Alfred Bossig.

Przy premjowaniu wieńców i parostków stosowana będzie metoda obliczenia prof. Dyka. Przewidziane są medale złote, srebrne i bronzowe za wieńce, parostki, łopaty i szable, oraz plakiety złote, srebrne i bronzowe za głuszce i cietrzewie, i wreszcie dyplomy za zbiory selekcyjne oraz za inne wybitne okazy.

Deklaracje myśliwych, pragnących wziąć udział w wystawie, winny być przesłane pod adresem: inż. Tadeusz Majer, ulica Wyspiańskiego 10 w Poznaniu — do dnia 8 marca b. r.

Imprezę wystawową „Łowca Wielkopolskiego", jak i zamiary na przyszłość dorocznego urządzania pokazu trofeów za ostatni okres, należy powitać z uznaniem. Niewątpliwie świat myśliwych przyjmie inicjatywę tę z wdzięcznością i tłumnie pośpieszy do szeregów wystawców, a także zwiedzających.

Z KLUBU SETTRA ANGIELSKIEGO W POLSCE.

Zarząd Klubu zawiadamia, że w dn. 10 marca 1936 roku o godz. 8-ej wiecz. w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego — Nowy-Świat 35, dla członków Klubu i wprowadzonych gości zostanie wygłoszony przez p. pułk. S. Błockiego odczyt na temat *„Psychologiczne podstawy tresury psa"*, zawierający dane o rewelacyjnych wynikach tresury psów, opartej na metodzie Konrada Mosta.

Na zakończenie, dla zawiązania szerszej łączności między miłośnikami psa myśliwskiego, odbędzie się towarzyska biesiada.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KLUBU SETTRA ANGIELSKIEGO W POLSCE ZA 1935 R.

Z dniem 1 stycznia 1936 r. Klub Settra Angielskiego w Polsce wstąpił w piąty rok swej działalności.

W końcu ubiegłego roku sprawozdawczego kynologja polska, a w szczególności Klub Settra Angielskiego poniósł ciężką i niepowetowaną stratę.

W dniu 5. XI. 35 zmarł ś. p. Stanisław Morzkowski, słynny hodowca seterów irlandzkich za czasów zaborczych i wielo- w dziejach myślistwa i kynologji polskiej.

W dniu 1. XII. 35 r. zmarł ś. p. Aleksander Stolarow, jeden z najwybitniejszych znawców psa myśliwskiego w Europie, wielce zasłużony na polu rozwoju kynologji w Polsce i znany szerokim kołom myśliwych i hodowców, jako niezastąpiony siłami krajowemi wieloletni senjor sędziów na wystawach i próbach polowych.

Niezapomniani zmarli pozostawili po sobie niezatarty ślad w dziejach myśliwstwa i kynologji polskiej.

W imieniu Klubu Settra Angielskiego ostatni hołd zwłokom nieodżałowanych ś. p. zmarłych złożył Prezes Klubu m. in. jako członek delegacji stowarzyszeń kynologicznych, wysłanej do Łodzi na pogrzeb ś. p. A. Stolarowa.

Zamykając ubiegły rok sprawozdawczy, Zarząd Klubu poczuwa się przedewszystkiem do obowiązku stwierdzić, że w okresie sprawozdawczym nie dało się urzeczywistnić pełni zamierzeń, wchodzących do nakreślonego przez Zarząd programu działania.

Trudności finansowe, brak jakichkolwiek dochodów nadzwyczajnych, oraz wzrastające w dalszym ciągu zaległości członkowskie, paraliżowały, pomimo najlepszej chęci i usiłowań, poczynania Zarządu i uniemożliwiły zarówno rozpoczęcie wydania roczników Klubu, jak i wznowienie wydawania komunikatów, niezbędnych dla orjentacji hodowców setterów angielskich w kraju.

Wobec zdecydowanego uchylenia się niektórych członków od uiszczenia składek i to za szereg lat, Zarząd Klubu z przykrością zmuszony był zastosować postanowienie art. 11 p. b) Statutu Klubu w stosunku do 4 osób i skreślić ich z listy członków Klubu.

Nieregularność uiszczania składek członkowskich, a wobec tego niezadowalniający stan kasy Klubu, nie dały możności Zarządowi zmienić systemu nagradzania psów na próbach polowych w kierunku wprowadzenia nagród pieniężnych, co zdaniem Zarządu jest jednym z koniecznych warunków podniesienia hodowli settera angielskiego w kraju.

Powyższe okoliczności spowodowały, że cała energja Zarządu Klubu w roku ubiegłym została skierowana wyłącznie do usprawnienia ogólnej organizacji kynologji w Polsce, a to z tej racji, że zdaniem Zarządu dla zdrowego rozwoju istniejących klubów powinny być przedewszystkiem ustalone ogólne zasady i warunki współpracy.

Sprawa utworzenia „Polskiego Kennel Klubu", względnie „Polskiego Związku Kynologicznego", jako centralnej organizacji o uprawnieniach stowarzyszenia wyższej użyteczności,

rozpoczęta w r. 1934 i kontynuowana przez Zarząd Klubu w dalszym ciągu, niestety tymczasem upadła wobec nieprzychylnego stanowiska władz państwowych.

Ponieważ konieczności życiowe nie mogą czekać na lepszą konjunkturę, Zarząd Klubu podjął na własną rękę starania w kierunku konsolidacji pracy istniejących stowarzyszeń kynologicznych.

Pracą Zarządu Klubu w tym kierunku została pomyślnie zakończona utworzeniem „Międzyklubowego Komitetu Kynologicznego" i przyjęciem opracowanego regulaminu narazie przez przedstawicieli 6 stowarzyszeń kynologicznych w Warszawie na międzyklubowem zebraniu dnia 11. XI. 1935 r.

Ponadto do zatwierdzenia Komitetu Kynologicznego, jako organu porozumiewawczego i opinjodawczego, Zarząd Klubu złożył:

1) regulamin rejestrowania przydomków hodowlanych,
2) Statut Kolegjum Sędziowskiego, oraz
3) regulamin sędziowania psów na wystawach i próbach polowych.

Do opinji Komitetu Kynologicznego został również skierowany opracowany przez Zarząd Klubu projekt nowego regulaminu Księgi Rejestracyjnej Klubu Settra Angielskiego w Polsce.

Do czasu utworzenia centralnego Stowarzyszenia Kynologicznego i założenia jedynej „Polskiej Księgi Rodowodowej", obowiązującej w kraju, projekt ten w razie aprobaty mógłby być wprowadzony w życie przez poszczególne stowarzyszenia i w ten sposób osiągnęłoby się jednolitość postępowania w sprawach rejestracji materjału hodowlanego.

Drugie posunięcie ogólnego znaczenia polega na uzyskaniu przez Zarząd Klubu zgody Ministerstwa Komunikacji na obniżenie pobieranych za przewóz psów opłat kolejowych.

Ministerstwo zarządziło zmianę § 53 taryfy kolejowej, wobec czego od dnia 15. VII. 35 r. opłata za przewóz psa pobiera się w wysokości należności, przypadającej za przewóz przesyłki bagażowej o wadze 20 kg. (N. 29 Dz. Taryf i Zarządzeń Kolejowych z dnia 15. VII. 35 poz. 382).

Przechodząc następnie do szczegółowego sprawozdania, Zarząd Klubu zaznacza co następuje.

Władze Klubu:

Roczne walne zgromadzenie Klubu odbyło się dnia 8. IV. 35 r., na którem został wybrany nowy Zarząd, ukonstytuowany w następującym składzie: Prezes — B. Przychodźko, Skarbnik — Dr. M. Łabądź, Sekretarz — R. Friedensberg, członkowie Zarządu — A. Brudnicki i L. Briesemeister.

Do Komisji Rewizyjnej weszli: J. Skrzypek, H. Grodzki, J. Wodziński i jako zastępcy Z. Tarnowski i Dr. E. Szyfelbein.

Wymieniony wyżej Zarząd Klubu odbył w roku sprawozdawczym 14 posiedzeń i 3 posiedzenia międzyklubowe.

Przedstawicielami Klubu do „Międzyklubowego Komitetu Kynologicznego" zostali delegowani — B. Przychodźko i Dr. M. Łabędź.

Zespół Klubu:

W ciągu roku sprawozdawczego ubyło ze składu członków klubu — 13, przyjęto nowych członków — 15.

Stan liczebny w porównaniu do lat ubiegłych przedstawia się następująco:

na 1. I. 33 r. — 17
na 1. I. 34 r. — 28
na 1. I. 35 r. — 38
na 1. I. 36 r. — 40

(Dok. nast.).

Szczere wyrazy współczucia z powodu ciężkiej straty, poniesionej przez śmierć syna, wyrażają tą drogą Dr. Janowi Żabińskiemu

Członkowie Komitetu Redakcyjnego.

PRECZ Z „KRÓLEM!"

Ten okrzyk arcyrepublikański, jeśli nie wprost rewolucyjny, wyrywa mi się z piersi starego myśliwego, chociaż dla ostrożności i zrobienia dobrego wrażenia muszę się zastrzedz, że bywają i starsi myśliwi, powodowani długoletniem doświadczeniem łowieckiem na ziemiach małopolskich i wielkopolskich, którzy myślą taksamo.

Obyczaj obwoływania króla, nie mający zresztą swego początku w naszych starych tradycjach myśliwskich, i to w dodatku króla, którego całą arcywątpliwą zasługą jest wykazanie się największą ilością rozkładu, zdobytego per fas lub nefas, a prawie zawsze kosztem innych towarzyszy myśliwych i stosunkowo dużej ilości poranionej zwierzyny — może pochlebia ambicji pewnych jednostek, które się specjalizują z czasem w zawodzie kandydowania na taki tron, ale ciąży jak zmora nad całem polowaniem. Takiemu panu, jak to bardzo barwnie w n-rze 3-cim „Łowca Polskiego" w artykule „Pogawędka o królu" przedstawił p. Adam Starzeński, jest obojętne w jaki sposób i czyim kosztem może swego celu dopiąć, opanowuje go tylko jedna myśl „królewska". Znam szereg myśliwych, cieszących się tą marną popularnością, że niech dzieje się co chce, ale muszą być królem. Że przy tem poranią szereg zajęcy czy bażantów lub kuropatw i te w męczarniach zginą, że innym myśliwym tworzeniem gruszek, strzelaniem na niesłychane dystanse, wystrzeliwaniem zwierzyny prawie z pod nóg i t. p. psują zabawę, a gospodarzowi dezorganizują polowanie, to ich nic nie obchodzi, byle zostali obwołani królem polowania, a gospodarz był zmuszony z większem lub mniejszem zadowoleniem wypić ich zdrowie.

Dlatego pozwalam sobie zainicjować myśl: „precz z królem". Zresztą otrzeźwienie w tym kierunku, jak wskazują czasopisma łowieckie, nastąpiło i w ojczyźnie tego obyczaju, t. j. Niemczech: albo kasują ten zwyczaj wogóle, albo droga do królestwa prowadzi inna. Królem zostaje ten, kto swój rozkład uzyskał czysto, bez kaleczenia, stosunkowo najniższą ilością zużytej amunicji.

Ale byłby tu na miejscu nietylko apel do myśliwych, ale i do naszej prasy. Otóż zanoszę prośbę, aby poniechała przy ogłaszaniu sprawozdań z polowań, wymieniania z nazwiska tego myśliwego, który miał największy rozkład, bo to taksamo, jeśli nie więcej, pcha wielu myśliwych do czynów niebardzo zgodnych z etyką łowiecką, których przypuszczam, gdyby je rozważyli na zimno, samiby się wstydzili.

S. M.

W SPRAWIE SZABEL DZICZYCH.

Życie łowieckie przebyłem przeważnie w głębokich Karpatach, jednak potykałem się z czarną zwierzyną także w równinowych kniejach. Otóż mając z tych rozmaitych terenów sporą ilość szabel dziczych, zauważyłem w tym zbiorze pewną powtarzającą się cechę charakterystyczną.

Szable z siedlisk głęboko-karpackich odznaczają się w wymiarach większą stosunkowo długością, a mniejszą szerokością swej klingi, niż u równinowych odyńców. Proszę innych myśliwych o zwrócenie uwagi, czy powyższe przypuszczalne cechy znajdą potwierdzenie także w ich zbiorach!

Wiadomą jest rzeczą, że szable dzicze stają się długie z wiekiem odyńca, więc gdyby tylko ten pewnik stosować w ocenie, wskazywałoby to na dłuższy żywot dzików w głębokich kniejach Karpat, niż w równinach. Jest to zupełnie możliwe do przyjęcia, jako teza oparta na faktycznie rzadszych spotkaniach z kulą myśliwego w głębi gór. Ale jak uzasadnić drugą przypuszczalną właściwość, że szable równinowego pochodzenia są stosunkowo szersze, niż górskich dzików? Zdaje mi się, że jedynie hipoteza *pars pro toto* daje konsekwentne wytłomaczenie, ale narzuca tem samem opinję, że dzik równinowy jest wogóle lepiej rozwinięty i przez to stosunkowo cięższy od górskiego, co się może tłomaczyć łatwiejszemi warunkami życiowemi. Tymczasem, w równinach, znacznie mniej spotykałem na rozkładach odyńców o faktycznej wadze powyżej dwustu kg., niż w Karpatach.

Co mówi w tym względzie praktyka z kniei równinowych — ale o powadze naukowej naturalnie, a nie „Jaeger-latein"?

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Ukazała się ostatnio na rynku księgarskim książka, która musi zainteresować każdego miłośnika zwierząt, a tem samem i myśliwego. Książką tą jest nowe wydawnictwo Księgarni Lwowskiej. Autorem jej jest znany pisarz niemiecki Paweł Eipper. Czytelnicy przypominają sobie jego pierwszą książkę p. t. „Zwierzęta patrzą na ciebie". Nowe wydawnictwo nosi tytuł *„Zwierzaki"*.

Już ze wstępu dowiadujemy się, że zwierzę jest dla autora jednym wielkim tematem twórczości literackiej, a podpatrywanie zwierząt było marzeniem jego od lat dziecinnych.

Czytamy na wstępie: „Góry, wielkie łąki, lasy i jezioro są moją wyłączną własnością. Ludzie nic nie wiedzą o tem, bo niewidzialny mur otacza mój świat. Biorę po jednej parze ze wszystkich zwierząt żyjących w wodzie, na ziemi i na niebie i umieszczam je w swoim czarodziejskim ogrodzie. Niema w tym raju wrogów i prześladowców; wszystkie zwierzęta mnożą się i mają wiele, wiele małych. Mnie, człowieka, nie mogą ujrzeć; ja jednak jestem przy nich, jednocześnie wszędzie, a gdy zapada wieczór otulam wszyskie maleństwa".

Z tych kilku słów, które przytoczyłem, widzą Łaskawi Czytelnicy jak wielką, bezgraniczną miłością do zwierząt przepełniony jest autor, zresztą z każdej stronicy tego niezwykle pięknego dzieła ta miłość bije, rozpływa się w jakiejś dziwnej ekstazie, przechodzi czasem w superlatywy, nawet niejednokrotnie dla przeciętnego człowieka niezrozumiałe.

Treścią książki jest zwierzę w postaci matki i młodego. Autor wybrał najwdzięczniejszy okres życia zwierząt, kiedy małe stworzenia są jeszcze czasem tak bardzo niezgrabne, a jednak tyle w nich wdzięku, że przechodzień musi na nie zwrócić uwagę. Matka, to najwierniejsza obrończyni swego małego, niepomna na jakiekolwiek kary czy niebezpieczeństwo, broni w każdej chwili swojego potomstwa.

Niezmiernie ciekawy jest stosunek samego autora do zwierzęcia. Naogół każdy z nas, gdy ujrzy zwierzę, a zwłaszcza młode, pierwszym jego odruchem jest pogłaskać je, popieścić. Tymczasem autor jest stuprocentowym obserwatorem. On najpierw musi obserwować długi czas zwierzę, bo wie, że niewidziany przez nie, zobaczy jego figle, dopiero powoli, z czasem, w miarę oswojenia się, wolno mu zbliżyć się do zwierzęcia i pogłaskać. I wtedy zawiązuje się nić pomiędzy obserwatorem człowiekiem, a obserwowanem zwierzęciem. Następuje drugi etap obserwacji, gdy zwierzę, nie bacząc na obecność człowieka, zachowuje się tak, jakby było zupełnie samo.

O tym stosunku do zwierząt sam autor we wstępie tak pisze: „Często też mi się zdarzało, że drwiono ze mnie. Przystaję koło każdego bydlęcia, a boi się". „Mnie jednak zdawało się, że może są tam młode, mogące się przestraszyć i wracałem do swego pokoju".

Kończąc swą przedmowę, tak pisze: „A teraz dopuszczam do głosu zwierzęta same, a jeśli „uczeni" znów wytoczą zarzut, że niema niczego nowego w mych opowiadaniach, nie będę się bronił. Przeciwnie, melodja opowiadań jest stara jak świat i mocniejsza od wszelkiej uczoności: miłość jednak jest śród nich największa".

I tak jest. Właściwie autor nie powiedział nam nic nowego, kilka luźnych przykładów rzucił na papier, a jednak jest w nich coś, co musi każdego kulturalnego człowieka zastanowić, to właśnie — to podejście do zwierzęcia. Dziś, kiedy każde pismo codzienne zamieszcza wzmianki o bestjalskiem znęcaniu się nad zwierzętami, książki takie mają swe założenie głęboko pedagogiczne i dlatego należy z uznaniem podnieść wysiłek Księgarni Lwowskiej, że mimo ciężkich czasów wydała to dziełko.

Książka ta wydana została nadzwyczaj starannie. Zwłaszcza jeśli chodzi o szatę graficzną. Również bez zarzutu są fotografje Heddy Walthera. Tłomaczenie Gustawa Pospóły miejscami, niestety, bardzo słabe.

Książka musi zainteresować każdego myśliwego, każdego miłośnika przyrody żywej, każdego artystę, gdyż wszyscy znajdą w niej wiele rzeczy, które odżyją w czytelniku silniejszą nutą. A dla wielu może będzie ona podstawą nowego stosunku do młodszego brata — jakiem jest zwierzę.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

„Wiadomości strzeleckie i balistyczne" (Schiess- und waffentechnische Mitteilungen) za 1935 r. — Za przykładem lat ubiegłych wydawnictwo berlińskiego tygodnika „Wild und Hund" ogłosiło w oddzielnej odbitce zbiór artykułów, dotyczących strzelectwa, broni i balistyki, które się ukazały w r. ub. w wymienionem piśmie. Dział ten pozostaje pod fachowem kierwonictwem Niemieckiego Zakładu Doświadczalnego dla broni palnej w Wannsee. W zbiorze tegorocznym znajdujemy szereg bardzo ciekawych i aktualnych artykułów, pisanych przez fachowców i obficie ilustrowanych. Na wymienienie zasługują: „Obowiązkowe strzelania ćwiczebne myśliwych", „Ujednolicenie amunicji kulowej", „Sztuka dobrego celowania", „Nowoczesne metody strzelania do rzutków", „Broń z metalów lekkich", „Rozrzucanie śrucin", „Jak unikać złych strzałów z broni, zaopatrzonej w lunetę?", „Praktyka broni małokalibrowej", „Statystyka nieszczęśliwych wypadków z bronią myśliwską", „Teorja i praktyka strzału śrutowego", „Nowe typy myśliwskiej broni kulowej".

J. G.

Zarząd Tow. Łow. Ziem Wschodnich rozesłał księgę pamiątkową p. t. „Myślistwo Wschodnie" (Jednodniówkę łowiecką) wszystkim zamawiającym zamiejscowym myśliwym zapomocą zwykłych przesyłek pocztowych, pragnąc oszczędzić im dość znacznych kosztów t. zw. zaliczenia pocztowego. Zarząd Tow. Łow. Z. W. stanął tem samem na stanowisku całkowitego zaufania do zamawiających myśliwych, ufny, że należność za wysłane egzemplarze będzie uiszczona szybko i skrupulatnie. Ufność ta była tem większa, że cena egzemplarza Jednodniówki została skalkulowana niebywale nisko: — wbrew powszechnie przyjętym w akcji wydawniczej zasadom, cena zamówionego egzemplarza pokrywała zaledwie własne koszty druku, papieru, klisz, ekspedycji etc.

Niestety, nie wszyscy zamawiający myśliwi ocenili dobre intencje Zarządu... Niektórzy z nich dotąd jeszcze nie wpłacili należności za Jednodniówkę... Zarząd Tow. Łow. Z. W. zwraca się przeto do tych pp. myśliwych, którzy dotąd należności za księgę nie uregulowali, o łaskawe przyśpieszenie wyrównania tej należności.

Należność w kwocie po zł. 3 gr. 25 za 1 egzemplarz (wraz z kosztami przesyłki) prosimy wpłacać na nasze konto w P. K. O. 81.352.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

DEUTSCHE JAGD.

Nr. 40/1935, str. 731. *„Odstrzał łosi na mierzei Kurońskiej"*. Dyrektorjum obszaru Kłajpedzkiego przyznało w r. 1935 prawo odstrzału 9 łosi, wyłącznie byków, gdyż wobec niezadowalającego zwierzostanu odstrzał łosz był w tym roku wstrzymany. Z liczby tej odstrzelono w rzeczywistości tylko 7 byków, wyłącznie badylarzy, pozostawiając łopaciarzy do dalszego rozpłodu. Ogółem łosi na terytorjum Kłajpedzkiem liczy się obecnie od 90 do 100 sztuk.

Nr. 41/1935, str. 1020. *„Uwaga! Kłusownicy przy pracy!"* — Pod takim tytułem minister sprawiedliwości Rzeszy Niemieckiej, ogłosił odezwę treści następującej:

Warunki okresu powojennego sprawiły, iż kłusownictwo osiągnęło powszechnie niebywały rozwój i doprowadziło do coraz częstszych starć orężnych ze strażą leśną i łowiecką. W okresie rocznym od jesieni 1925 r. do jesieni 1926 r. zanotowano w Niemczech 576 podobnych starć, podczas których zabito 24 strażników leśnych i 18 kłusowników, zaś odniosło rany 23 leśników i 24 kłusowników. Pod wpływem tego stanu nowe prawo z dn. 13 października 1933 r. obostrzyło znacznie kary za przeciwstawianie się z bronią w ręku czynnościom straży leśnej i łowieckiej, ustalając karę śmierci, dożywotnie więzienie, lub więzienie do lat 15 za zabicie strażnika, albo za namawianie, lub współdziałanie w tem. Znacznie podwyższono w 1935 r. również kary za kłusownictwo, sięgające w pewnych wypadkach 5 lat ciężkie-

go więzienia. Nawet samo posiadanie sprzętu kłusowniczego przez kogoś, kto już był karany za kłusownictwo, wystarcza do skazania go na więzienie. Wreszcie, w tymże 1935 r. rozszerzono znacznie przepisy o użyciu broni przez strażników leśnych i łowieckich, dozwalając na użycie jej nietylko w wypadku niebezpieczeństwa, grożącego życiu, ale nawet przy pogróżkach ze strony kłusownika, uzbrojonego w broń, w siekierę, łopatę i t. p. oraz przy próbach ucieczki. — Wszystkie te zarządzenia jednak osiągną swój cel tylko wówczas, gdy całe społeczeństwo zrozumie olbrzymią szkodę, jaką przyczynia wielomiljonowemu łowieckiemu bogactwu narodowemu nieliczące się z żadnemi przepisami kłusownictwo, jaką krzywdę przyczynia ono wielkiej rzeszy pracowników leśnych i łowieckich, z łowiectwa czerpiących środki do życia, i zechce czynnie dopomódz władzom w ściganiu i tepieniu kłusownictwa, dziś przeradzającego się w bandytyzm.

WILD UND HUND.

Nr. 50 i 51/1935, str. 852. R. Friesz „W H i s z p a n j i". — Autor odbył dwie duże wyprawy łowieckie, trwające miesiące, do Hiszpanji w latach 1934 i 1935 i wrażenia swoje ujął w postaci obszernego artykułu, ozdobionego licznemi ilustracjami z własnych zdjęć. Pod względem łowieckim Hiszpanja jest krajem niemal całkowitej swobody łowieckiej, gdyż obowiązek wykupienia t. zw. „patentu łowieckiego" jest przez szeroki ogół zupełnie nieprzestrzegany i poluje każdy, kto ma ochotę i sposobność. Sposobność ta jest zresztą coraz rzadsza, gdyż główne siedliska zwierzyny są w górach, zaś ogromne rozpowszechnienie górskiego pasterstwa w Hiszpanji, liczącego 21 miljonów owiec, 5 miljonów kóz i 4 miljony bydła rogatego, powoduje wyniszczenie roślinności, pod wpływem którego zwierzyna grubsza posuwa się coraz bardziej w niedostępne szczyty skalne. Sądząc z wydanego w 1934 r. przez ostatniego łowczego nadwornego, ks. de Almazan, wspaniałego dzieła „Historia de la Monteria en Espana", przed laty stało łowiectwo hiszpańskie b. wysoko. Jeszcze król Alfons utrzymywał w Sierra de Gredas chronione ostoje koziorożców, w Picos de Europa ostoje kozic i liczne rezerwaty jeleni i danieli. Królewskie tereny łowieckie przeszły dziś pod opiekę rządowego zrzeszenia łowieckiego „Punta de cotos nacionales de caze", które wespół ze Związkiem turystycznym oraz państwowem muzeum zoologicznem udziela w ograniczonym zakresie odstrzału zwierzyny. Pozatem ładne zwierzostany zachowały posiadłości prywatne grandów w Andaluzji (Sierra Morena) i w Kastylji, składające się głównie z jeleni i dzików. Nierzadkiemi są wypadki ubicia na zbiorowej obławie do 100 sztuk jeleni i danieli.

Przechodząc do charakterystyki stanowisk poszczególnych rodzajów zwierzyny łownej, autor wskazuje, że niedźwiedź, ryś i wilk spotykany jest dotąd dość często w środkowych i górnych partjach t. zw. Kordyljerów Kantabryjskich w północnych Pirenejach, lisy, kuny i łasice występują w górach powszechnie. Koziorożce, których ilość przed wojną liczono na 4000 sztuk, spadła po przewrocie do 1000, ale dziś wzrosła znów do 2000 sztuk, przebywają głównie w chronionym obszarze Sierra de Gredas o 200 km. na zachód od Madrytu. Autor uzyskał prawo odstrzału 3 kozłów, ale ubił tylko jednego ośmioletniego podczas bekowiska, bo reszta spotkanych kozłów — pomimo, że widział on stada, liczące do 70 sztuk — były to prawie wyłącznie młode kozły, których szkoda było strzelać. Iberyjski koziorożec należy do najlepszych okazów tego gatunku zwierzyny, mało co ustępując co do wagi jeleniowi (120—150 funtów); poroże zaś ma równie wspaniałe, jak koziorożec alpejski. Zdaniem autora koziorożec iberyjski jest bardziej pokrewny kaukaskiemu turowi.

Główne stanowiska kozic znajdują się na wschodzie w Pirenejach, a na północy w Kordyljerach Kantabryjskich (Picos de Europa). Polowanie na kozice w Pirenejach wschodnich jest ogromnie utrudnione, gdyż bardzo tu rozpowszechnione kłusownictwo wpędziło kozice na niedostępne skały i uczyniło je bardzo ostrożnemi. Liczniej występują kozice i łatwiejsze są do odstrzału w chronionym obszarze Picos de Europa. Podobnież i jelenie są dla przyjezdnego myśliwego dostępne tylko w rewirach chronionych, natomiast dziki są dość powszechne i spotkanie z niemi nie należy do rzadkości. Pospolitemi są wreszcie zające i króliki. Ze zwierzyny skrzydlatej znajdujemy w górach głuszce, natomiast brak zupełny cietrzewi i jarząbków. Na słonecznych zboczach spotykamy kuropatwy szare i czerwone, oraz liczne rodzaje gołębi dzikich.

Nr. 53/1936, str. 907: G. L e d e r *„Polowanie na łosie w Szwecji"*. — Według sprawozdania dyrektora Källeforskiego ostępu łosiowego, p. Nilssona, wyniki tegorocznego polowania na łosie były następujące. Z uwagi na duże rozmnożenie łosi i wzrost w związku z tem szkód, poniesionych przez włościan, otrzymano we wrześniu prawo odstrzału w ostępie 40 łosi w ciągu 6 dni, pzryczem wyjątkowo zezwolono strzelać również cielęta. Odstrzelono faktycznie 37 łosi, wobec czego w październiku, zamiast dozwolonego odstrzału 55 sztuk, ubito 56. Ogółem przeto ubito 93 sztuki łosi, na które, według płci i wieku, złożyły się:

łosi - byków	—	44 sztuki
łoszy starych	—	40 „
jałówek	—	8 „
cieląt	—	1 „

Ogółem w rewirze Hällefors liczy się do 500 sztuk łosi. W polowaniu tegorocznem na łosie brało udział 22 gości, w tem 13 niemców, 2 duńczyków, 1 norweg i 6 szwedów. Polowanie odbywało się pojedyńczo z psem, raz tylko urządzono polowanie zbiorowe, podczas którego spotkano się z 28 łosiami, z których ubito 4. Wśród ubitych sztuk były dwa byki 16-taki i 1 — nieprawidłowy 14-tak. Ogółem zdobyto 14.176 kg. mięsa i 1670 kg. skór, ze sprzedaży których osiągnięto 13.700 koron. Powierzchnia rewiru Hällefors wynosi 600 tys. lasu i 150 t. mórg jezior.

Nr. 55/936, strt. 938. S. U r b a ń s k i *„Łoś, niedźwiedź i ryś w Polsce"*. — Autor, opierając się danych, zebranych przez ks. L. Niedbala, zaznajamia czytelników niemieckich z ilostanem, miejscem przebywania, warunkami ochrony i sposobami polowania w Polsce na trzy najgrubsze nasze zwierzęta łowne. Wierny i treściwy opis uzupełnia autor dobremi zdjęciami z obrazu Z. Ajdukiewicza „Niedźwiedzie w Tatrach" oraz Prezydenta Rzplitej przy zabitym przezeń łosiu w Puszczy Rudnickiej. J. G.

KŁUSOWNICTWO.

WALKA WŁADZ ADMINISTRACJI OGÓLNEJ Z KŁUSOWNICTWEM.

Od Pana Starosty powiatu opatowskiego, p. W. Bołdoka, otrzymaliśmy dane, dotyczące przeprowadzanej na terenie powiatu energicznej walki z kłusownictwem. Oto one:

W ostatnich trzech miesiącach (IV kwartał) 1935 r. dokonano 198 rewizyj w poszukiwaniu nielegalnie posiadanej broni, z czego uzyskano pozytywne wyniki w 96 wypadkach.

Odebrano ogółem 19 dubeltówek, 43 pojedynki, 4 karabiny, 32 sztuki innej broni palnej; pozatem w 27 wypadkach odebrano nielegalnie posiadaną amunicję i w 7 wypadkach — sidła.

Pociągnięto do odpowiedzialności za nielegalne posiadanie broni i kłusownictwo 114 osób.

W roku ubiegłym podobną akcję przeprowadzono w powiecie wieluńskim. Tam odebrano wówczas paręset sztuk nielegalnie posiadanej broni palnej.

Wysoce celowe to poczynanie powinno znaleść naśladownictwo u wszystkich starostów, bowiem, jak tego dowodzą choćmy tylko te dwa przykłady, zapasy broni, pochowanej po wsiach, są jeszcze bardzo znaczne i stanowią stałą groźbę, wymierzoną w stronę społeczeństwa i jego mienia pod różną postacią.

Byłoby niezmiernie pożądane, ażeby panowie starostowie, zarządzający na terenach powierzonych im powiatów tak wielce pożądaną „czystkę", z którą w parze idzie równocześnie ukaranie przestępców z pośród świata kłusowniczego, zechcieli o wynikach swej akcji w tym kierunku zawiadamiać Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich dla umożliwienia mu prowadzenia szczegółowej statystyki i zużytkowania jej w dalszym ciągu w celach propagandowych na łamach „Łowca Polskiego". WŁ. Z.

ZNOWU ZABICIE DWÓCH ŁOSI.

(—zet—) Nadleśniczy państwowy, p. K. Czarnecki, administrujący nadleśnictwem Wiado, donosi, że w dniu 1 lutego b. r. znani kłusownicy ze wsi Bobrowicze pow. Kosów pol., zabili łosia na terenie rezerwatu łosiowego.

Przy tej okazji stwierdza, że nie jest to odosobniony wypadek nielegalnego ubicia łosia przez kłusowników - procederzystów i że ostatnio kłusownictwo znacznie się wzmogło, choć dotychczas do rezerwatu łosiowego wtargnąć się nie ośmielali, gdzie czynną jest osobna straż łowiecka, utrzymywana z dodatkowych kredytów, udzielanych przez dyr. Karola Neimana z Białowieży, a sam teren rezerwatu ściśle chroniony.

Ostatni wypadek — pisze p. Czarnecki — ubicia łosia w rezerwacie dowodzi, że kary za to przestępstwo są niewystarczająco wysokie i że należy koniecznie wyjednać u władz wyjątkowe traktowanie kłusownictwa w rezerwatach łosiowych.

Sprawców ubicia łosia w rezerwacie ujęła przy pomocy policji straż łowiecka, broń odebrano, a także skórę łosia i mięso.

Prowadzone jest energiczne dochodzenie.

Sekcja Ochrony Łosia przy Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich wystąpiła w tej sprawie z odpowiednim memorjałem do Panów Ministrów Rolnictwa i R. R., Spraw Wewnętrznych i Sprawiedliwości.

*

(—zet—) W dniu 9 lutego b. r. na terenie dóbr rzepichowskich kłusownicy, pochodzący ze wsi Trzeciakowce, zabili widłami wpędzoną na lód przez psy dwuletnią klempę.

Sprawców było czterech — wszyscy zostali ujęci przez straż leśną, a sprawa została skierowana do sądu grodzkiego w Lachowiczach z oskarżenia publicznego.

Do ujęcia kłusowników głównie przyczynił się gajowy Józef Poczkajło, który i w roku ubiegłym ujął także sprawcę ubicia łoszy na terenie dóbr rzepichowskich.

*

(—zet) W pierwszej połowie lutego w powiecie Leszno (Wlkp.), w okolicy Bojanowa, posterunkowy pol. państw. podczas obchodu rewiru w nocy napotkał jadącego na rowerze i wiozącego jakiś ciężki bagaż osobnika, którego przytrzymał.

Osobnik ów, przekonany, że w ciemności nie mógł być rozpoznany, pozostawił w rękach policjanta rower i pakunek, sam zaś zbiegł.

Okazało się, że zawartość paczki stanowiły dwie świeżo ubite sarny i zając. Rowerzystę posterunkowy rozpoznał, jako Józefa Janowicza z Gołaszyna-Osady, nie ścigał go więc, rower zaś i łup kłusownika odstawił na posterunek.

Janowicz zgłosił się nazajutrz sam po rower, tłomacząc jednocześnie, że paczkę ze zwierzyną znalazł na drodze. Wykrętom tym wiary nie dano, zwłaszcza, że Janowicz jest znanym policji kłusownikiem, jego samego aresztowano i oddano do dyspozycji władz sądowych.

*

(—zet—) Gajowy dóbr Dojlidy (woj. białostockie), A. Maksymowicz przyłapał niejakiego Józefa Girę na zakładaniu wnyków na zające. Gajowy odebrał mu 21 sztuk wnyków, które będą stanowiły dowody rzeczowe przeciwko zdemaskowanemu wnykarzowi.

*

(—zet—) Na polach wsi Kopki, gm. Chroszczewko, pow. Sokołów, gajowi dóbr Przeździatka zrobili zasadzkę na kłusowników.

Podczas spotkania jeden z kłusowników strzelił do gajowego Józefa Adamczyka, powodując z odległości lekki postrzał ręki i piersi śrutem.

Kłusowników w osobach Władysława Napiekły i Aleksandra Rytla ze wsi Kopki zatrzymano i przekazano do dyspozycji władz sądowych.

WYPADKI NA POLOWANIACH.

(—zet—) Lwowski „Il. Express Poranny" pod datą 22 lutego b. r. donosi, że podczas polowania, urządzonego przez nadleśnictwo w lasach w Zaderewaczu, praktykant leśny p. J. Bystroń, manipulując nieostrożnie strzelbą, wywołał wystrzał, z którego kula ugodziła stojącego obok leśniczego p. Franciszka Barana, którego natychmiast przewieziono do szpitala w Stanisławowie.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 5 — 12 stycznia grono myśliwych, dzierżawiących od Wileńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych Puszczę Komajską, zorganizowało doroczne polowanie zimowe w 6 strzelb. Polowano przedewszystkiem na wilki i rysie. Pogoda dopisała tylko częściowo: odwilż i parokrotna ponowa ułatwiały tropienie, poruszanie się jednak po lesie, czy to przy tropieniu, czy też przy zakładaniu fladr lub pędzeniu, było wysoce utrudnione, gdyż błota w puszczy nie zamarzły, teren zaś jest tu wyjątkowo mokry. Toteż myśliwi, którzy przeważnie byli nietylko strzelcami, lecz także tropicielami, pozostającymi pod kierownictwem słynnego „pskowicza", Kuropatkina, codziennie musieli używać kąpieli w lodowatej wodzie, nieraz powyżej kolan.

Pięciokrotnie udało się wziąć we fladry wilki, raz zaś rysia. Raz tylko myśliwych spotkał zupełny zawód, to znaczy, że spodziewanych wilków we fladrach już nie było. Innym razem pojedyńczy, otropiony wilk wyszedł przez naganką. Kiedyindziej znowu 4 wilki osznurowano zbyt późno: myśliwi do strzałów doszli dopiero o godz. 16-ej, co też sprawiło, że 2 wilki, źle strzelone, krwawiąc, poszły. Dwukrotnie natomiast doszło do spotkań myśliwskich — mianowicie z 5-ciu wilków, ofladrowanych w tych dwóch udanych pędzeniach, jedna tylko sztuka poszła chybiona, 4 natomiast zostały na linji strzelców. Zdobywcami trofeów byli pp. St. Eynarowicz, inż. St. Filipkowski, Wł. Gieysztor, inż. W. Tomaszewski. Tajemnicę natomiast stanowi nazwisko myśliwego, który zamiast do pięknie ofladrowanego rysia, jaki wyszedł mu na... 4 metry, strzelił celnie w drzewo, chociaż prowadził rysia przez dobre 30 metrów. Z 4-ch zabitych wilków 3 stanowiły okazy piękne. Tem cenniejsze są trofea, że zostały przez ich zdobywców wypracowane ciężkim wysiłkiem.

Po pędzeniach na grubego zwierza, oraz w dni, kiedy tropienie nie było możliwe, polowano na drobną zwierzynę, urządzając w tym celu małe naganki. Ubito przytem 6 bielaków, 4 szaraki, 2 cietrzewie i 15 jarząbków.

Tydzień trudów łowieckich, emocjonujących przygód i spotkań z grubym zwierzem, tydzień „prawdziwego polowania", w prawdziwej puszczy kresowej, jakich u nas i na kresach jest już niewiele — stanowi dla uczestników takiego polowania większe wartości we wspomnieniach, niż tuzin najpiękniejszych polowań na terenach kulturalnych. *W. G.*

— W czasie ostatniego polowania na dziki w lasach hr. Skórzewskiego z Lubostronia pod Łabiszynem ubito 14 dzików.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 5 został wydrukowany wykaz upolowanej w 1935 r. zwierzyny w maj. Białka powiatu „radzymińskiego".

Niniejszym prostujemy, że nazwa powiatu została wydrukowaną omyłkowo — winno być: Białka, powiatu Radzyń Podlaski.

TREŚĆ NUMERU.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

MYŚLIWI!

nadsyłajcie fotografje do reprodukcji w „Łowcu Polskim"